

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

4. VIII. 1957 r.

Nr 13

CENA ZŁ 1,50



POWSTANIE WARSZAWSKIE

Publikujemy obok kilka nieznanych w kraju zdjęć z powstania: po lewej walka w kościele świętego Krzyża, po prawej — wzięcie do niewoli Niemcy, własowcy i folksdojce.

„Zdarzenia” gorąco popierają apel ZBoWiD do MRN w Krakowie o nazwanie jednej z ulic podwawelskiego grodu Aleją Powstańców Warszawskich. Proponujemy aby nazwę tę nadać byłej ulicy Potockiego.



Jerzy Wilczyński

WYPRAWA O ŚWICIE (Nowela)

(W czasach okupacji faszysti niszczyli nie tylko naród polski, biologicznie. Chcieli także zniszczyć naszą kulturę. Walka z najeźdźcą toczyła się więc nie tylko na polu walki zbrojnej, ale także na polu kulturalnym. Jednym z przejawów tej walki była ożywiona działalność artystyczna i literacko-konspiracyjna przedstawienia, wieczory poetyckie, a także konspiracyjne pisma literackie. Jednym z nich był miesięcznik literacko-społeczny „Droga” wydawany w Warszawie w 1944 r. Z numeru 1 tego pisma przedrukowujemy nowelę „Wyprowa o świecie” napisaną przez nieznanego nam autora podpisującego się pseudonimem Jerzy Wilczyński).

Na wyprawę pojedechaliśmy w nowiutkich mundurach SD. Siedziałem z przodu, koło szofera, trzymając w pogotowiu pistolet maszynowy. O tej porze szosa była pusta. Opony twardo warczały na zwirowanej powierzchni; odrzucone wstecz kołami drobne kamyczki ostro dzwoniły o dno auta. Wpatrywałem się przed siebie. Żółtawe światło reflektorów zupełnie odbarwiała otoczenie. Przed oczami przesuwiała się taśma filmowa. Na zakrętach stożki światła chłastały po polach i zagrodach. Brzegami szosy brodzili niepewnie nocni przechodnie.

Pęd samochodu uchylał ich na boki. Kolysali się, tańcząc w takt dudnienia motoru.

Oczy bolały od jasnego blasku drogi. Spojrzałem ukradkiem w lewo. Przy kierownicy siedziałem ja sam. Nie odwracałem się już wstecz, bo siedzieliśmy także na obu tylnych ławkach samochodu, z bronią gotową do strzału. Nie było o czym mówić. We czterech siedzieliśmy sztywno, w jednakowych pozycjach, w napięciu, w oczekiwaniu.

Nagle zauważyłem jak z przydrożnych rowów wypelzają psy. Były ich coraz więcej. Wielkie, szare, z pyskami zwróconymi w jednym kierunku — przed siebie. Koła samochodu już nie dotykały szosy. Płynęliśmy w powietrzu uniesieni przez falę psów, która ciągle wzbierała. Już sięgała do kolan. Psy wypełniały wnętrze auta, kładły nam pyski na kolanach i patrzyły w oczy. Żaden z nas nie drgnął. Byliśmy przecież z drzewa. Tylko szeregi wierzb po obu stronach uciekały w tył i w bok.

O świecie trzeba było zgasić reflektory. Nie mogły się już na nie przydać: we mgle porannej światło tuż przed latarniami ginało się, kłębiło, wreszcie padało bezsilnie na

szosę, wypełniając drobne zagłębienia. Nie można było zostawiać tak wyraźnych śladów.

Z rykiem syreny przelecieliśmy przez kilka miasteczek. Nareszcie Łowicz. Przed posterunkiem stał na warcie żandarm. Wysiadłem i zagadałem do niego parę słów po niemiecku. Zwrócił na mnie zdziwione oczy i tak już pozostał. Obaj strzelcy zadławił go jak szczeniaka. Przeszliśmy przez pustą wartownię. Na podwórzu chłód przenikał do kości. Okrągłe kamienie bruku cofały się pod nogami. Obie boczne oficyny były zupełnie zrujnowane. Tylko w w kacie podwórza z otwartego kranu lała się niepotrzebnie woda.

Nagle z trzaskiem pękły drzwi w poprzecznym gmachu. Obie połówki z impetem uderzyły o ścianę. Zwiertzały tynk osypał się wielkimi płatami. Żandarmi w hełmach jak wielkie ciemno-zielone żuki, z chrzęstem wysypywali się na podwórze. Odszkodczyliśmy na boki. Salwa. Cienko zaśpiewały kule z wysiłkiem pruć powietrze. Wreszcie dobiegły. Kilka utkwiliło mi nad głową w murze rozbijając stare cegły na drobny czerwony proszek. Wycelowałem w środek tłumu. Krótkie serie. Skosiło ich. Został tylko jeden pośrodku. Chwiał się i ugiął, i strzelał bez przerwy. Skoczyliśmy mu do gardła z trzech stron i obaliliśmy na ziemię. Był bardzo ciężki. Teraz leżał na plecach, bezbroni, i niezdarnie przebierał łapami w powietrzu.

Do środka. Trzeba było przebiec przez podwórze. Z trudem przedarliśmy się przez oporną warstwę cienia pod samym domem. Prędej, biegiem. Pierwsze schody na lewo. Zbiegliśmy, ale schody już po kilku krokach usuwały się, przełamwały i prowadziły z powrotem w dół. Trzeba było zawracać. Bieglismy długim, czarnym korytarzem. Drugie schody były takie same. Prędej, prędej. Ale wszystkie schody w tym domu prowadziły w dół. Musieliśmy wylamywać stopnie w murze.

Na zakręcie wyciągnąłem z kieszeni granaty. Były podobne do orzechów włoskich. Pękały z trzaskiem. Sklepienie zawaliło się. Po kupach gruzu darliśmy się w górę: Pod stopami kamienie rozpadały się w piasek. Nogi grzęzły. Nareszcie trzecie piętro. Na dole huczał pożar.

Z bocznego korytarza wyszedł młodym krokiem SS-man olbrzymiego wzrostu i stanął naprzeciwko nas z karabinem gotowym do strzału. Skierowałem na niego lufę pistoletu maszynowego i nacisnąłem spust. Ale pociski trzaskały sucho tuż za lufą i spadały na ceglana posadzkę. Człowiek stał bez ruchu, wpatrując się przed siebie. Poszedłem wprost na niego. Nie zauważył. Wyminąłem. To był ślepy Niemiec.

Wielkie pancerne drzwi sięgały od podłogi do sufitu. Skoczyliśmy na nie z rozpędu, całym ciałem. Nie drgnęły. Granatów już nie było,

Zmęczony oparłem się o ścianę. Wgięła się. Wciągnęło.

Cela była wielka, owalna, jasno oświetlona. Okna wychodziły na most. Pod ścianą stało żelazne łóżko. Na płaskim jak naleśnik sienniku leżał na wznak człowiek w czarnym mundurze. To był on. Otworzył powoli oczy.

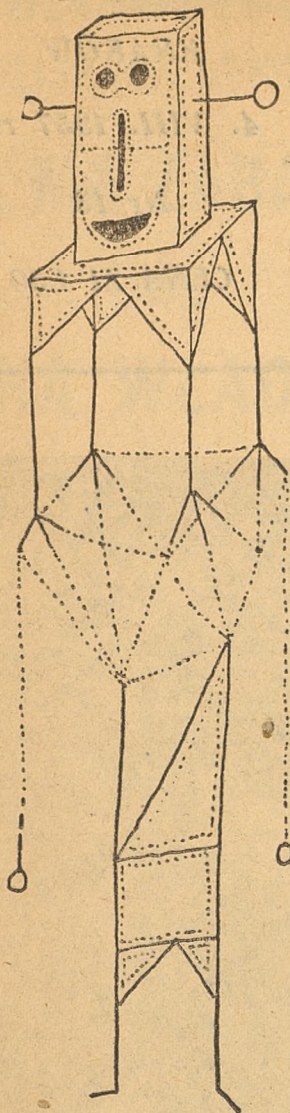
Powiedział: „siadaj”.
— Przyszedłszy po ciebie.
— Nie. Zaczekaj.

Z białych desek podłogi wyrastała zagięta w pastorał cynkowa rura, ta sama co na podwórzu. Z kranu wypłynął powoli cienki jak zapałka strumyk płynnego mlecznego kleju. Opadał kęgamy w dół, rozpyliwał się w powietrzu. Powietrze białeło. Co raz gęściej. Było trudno oddychać.
— Uduśmimy się.
— Jeszcze nie czas.

Ściany celi ruszyły z miejsca i zbliżyły się falując. Nagle słońce wdarło się przez okna. Człowiek w czarnym mundurze powiedział — Teraz.

Od okien szły przez galaretowate powietrze dwa świetliste okrągłe przewody i spotykały się przy łóżku. Popelziliśmy. Ścianki przewodów miały powierzchnię gładką, ciepłą i wilgotną. Poddawały się sprężystości. Nie było żadnego uchwytu.

Doczyłgałem się do gotyckiej framugi okna. Za nami cela była już zupełnie wypełniona twardą, mleczną żelatyną. Za oknem rosła trawa. Byliśmy wolni.



ST. LEM

Felieton melan cholijsny

diabli brali, więc, otwierając drzwi, kurczowo chwytam się ostatniego Trafnego Spostrzeżenia, które nie zdążyło umknąć, wpijam się w nie skurczem umysłu i biegiem docieram do swego pokoju, podczas gdy ono maleje, wiję się, jak złapana za ogon mysz i trzępocę rozpaczliwie, usiłując wleźć w jakąś szczelinę świadomości, by schować się na wieki w jej najciemniejszym kątku. Co mu się też z reguły udaje — w momencie, kiedy wkrecam papier do maszyny. Głowa moja naprzeciw gotowej na wszystkie Objawienia klawiatury wyprzejrzyściła się — i oto pełna jest Doskonałej Próżni, gotowa konkurować z pustką międzygwiazdą, jako Model Bezwzględnej Nicości, Czegoś tak próżnego, wyjałowionego z wszelkich Treści w życiu, zdaje mi się, jeszcze nie znalazłem; a w tej pustynnej otchłani kolacze się tylko samotny, nieco przestraszony, kantowski Imperatyw Kategoryczny, głoszący, że Mam Napisać Felieton.

Tak jest w dzień. A w nocy znowu felietony śnią mi się, i to wprost masami, po trzy, po pięć, i to takie, że albo się za boki trzymam od intelektualnego śmiechu, albo wypełniam się nad nimi Głębką Zadumą, bo takie Mądre, takie Jedynie i Uogólniające. Kiedy się zaś budzę, pamiętam, owszem, te wszystkie wrażenia, a także własny dla siebie podziw ze snu — że jak to ja takie Fenomena spłodziłem! — ale samych felietonów ani — ani.

A jednak piszę. W jaki sposób? To moja ponura tajemnica; zdradzać ją niechętnie, bo jest prosta i łatwa, niestety, do naśladowania. Ale skoro zebrało mi się na wyznania...

Otóż, kiedy napelniałem się już, zasiadłszy do maszyny, Absolutną Pustką, Vacuum pierwszej klasy, gdy ostatni temat skończyłem w zalewku, z nim zdążyłem przegwoździć go czcionkami do papieru, wstaje, ostantacyjnie wyciągam z szuflady cieniutki maszynopis, rozkładam go malowniczo, i powiadam głośno:

No, to będziemy dalej pisali Powieści!

Jest to powieść, którą, jak się to mówi fachowo, „mam na warsztacie“, czyli której, mówiąc zwyczajnie, nie mogę pisać — albowiem tak właśnie przedstawia się w rzeczywistości Proces Twórczy.

Jakoż najpierw odczytuję to, co już „stoi“ w maszynopisie, usiłując wykrzesać z siebie jeśli nie entuzjazm, to chociażby cień aprobaty. Dobrze, niedobre — w każdym razie to już jest. A teraz dalej.

Trzeba, nieprawdaz, rozsunąć wątki, poruszyć postacie, pchnąć je i ożywić — podczas kiedy wnetrze umysłu przypomina kostnicę po wybuchu bomby: chaos, martwość, jedyna mogiła.

Cóż mam robić? Snuję te wątki, snuję, z takim skutkiem, że po go-

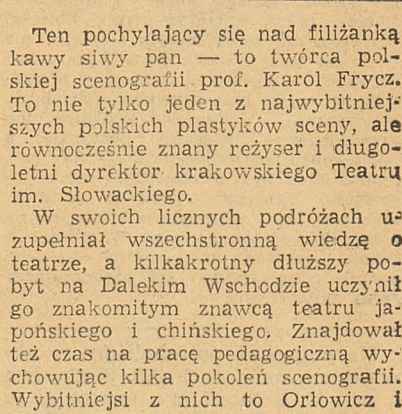
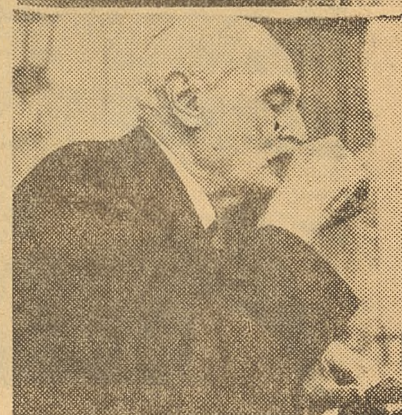
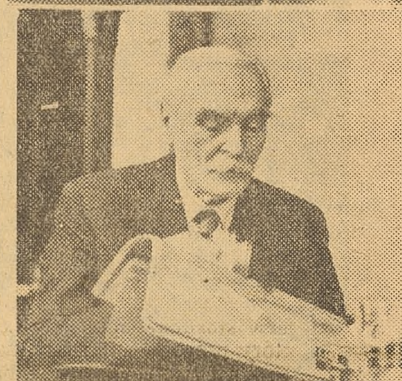
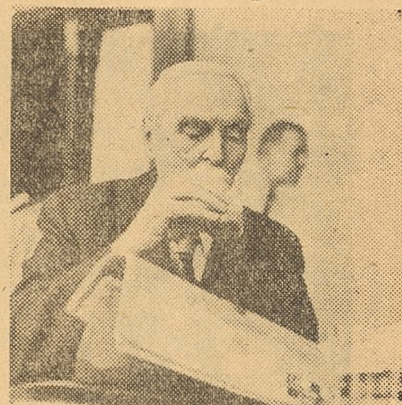
dzinie ogarnia mnie 1) obrzydzenie do zawodu pisarza, 2) głębokie przeświadczenie, że to, co wymyśliłem, jest czymś Jednorazowym i Niedostępnym w swoim Niedolegwie, 3) Tesknota za Innym Bytem, 4) Postępująca Niemożność, oraz 5) potężna w swym imperatywie myśl, że muszę zaraz, ale to Natychmiast zacząć robić Coś Całkiem Innego, bo inaczej Złe się to dla mnie skończy.

Dreńczony w taki sposób, nie słucham jednak tych potępieńczych głosów mego jestestwa, błagających o zmiłowanie, lecz uparcie wałęw w klawisze, pchając przed sobą Rozdział powieści, niczym żelazną szafę, do dna wypełnioną ołowiem. Zarazem czuję, jak budzi się zrazu jeszcze nikła, ale już obiecująca Ochota Napisania Felietonu, jako jedyne i ostateczne ratunku przed Powieścią. Oczywiście, skoro będę pisał felieton, powieść zostanie Zawieszona, jak wyrok, jak miecz Damoklesa. Cały ten proceder jest ma się rozumieć aranżowany umyślnie, i daje nawet czasem rezultaty. Jedyna, ale wprost olbrzymia trudność leży w tym, że oprócz Felietonu są jeszcze inne wyjścia, a więc np. pospieszne, jakby się paliło, wybiegnięcie na klatkę schodową i do sieni, żeby sprawdzić, czy nie ma aby jakiej poczty (czasem latam tak po pięć razy, zwłaszcza w trudniejszych miejscach) — odkrycie listów w skrzynce, wszystko jedno jakich, stanowi Blogie Odroczenie; to znowu błyska mi myśl, że Muszę pójść na miasto, bo a nuż ukazała się jakaś nowa książka, której lektura Odrodzi mnie, Upoi, Osmełni, Uniesie i Pchnie w Twórcze Zmagania. Jakoż znoszę książki kupami, ale skutki są raczej mizerne. Wreszcie można dzwonić do przyjaciół, przegłądać stare pisma, golić się, brać tusz, przyrządzać czarną kawę, temperować kolorowe ołówki, albo spróbować, czy korek flaszki z napojem alkoholowym jest szczelny. Jeżeli nie jest, trzeba alkohol ratować przez wywietrzeniem.

Wszystko to są Niskie Wybiegi, podobnie jak wstawianie w siebie, że trzeba lazić po mieście, to się nabiera Tematów a Tematów. O tym co dzieje się wówczas, patrz wyżej. Największym błogosławieństwem stają się w końcu Nagle a Niespodziewane Przeszkody, w rodzaju wizyty znajomego, albo Karteluska z Poczty, że jest Paczka do odebrania. Ale każdy gość wreszcie sobie pójdzie, paczka zostanie odebrana, spacer się skończy, ołówki zestrugają, kawa wypita, twarz ogolona, flaszka pusta, książki przeczytane łącznie z adnotacjami drukarni, nie ma już żadnego ratunku ani wybawienia, i wówczas, jak mówi Pismo, przychodzi czas zgrzytania zębami. No, to wtedy się siada do maszyny i pisze felieton.

SYLWETKI KRAKOWIAN

KAROL FRYCZ



Ten pochylający się nad filiżanką kawy siwy pan — to twórca polskiej scenografii prof. Karol Frycz. To nie tylko jeden z najwybitniejszych polskich plastyków sceny, ale równocześnie znany reżyser i długoletni dyrektor krakowskiego Teatru im. Słowackiego.

W swoich licznych podróżach uzupełniał wszechstronną wiedzę o teatrze, a kilkakrotnie dłuższy pobyt na Dalekim Wschodzie uczynił go znakomitym znawcą teatru japońskiego i chińskiego. Znajdował też czas na pracę pedagogiczną wychowując kilka pokoleń scenografii. Wybitniejsi z nich to Orlowicz i Kantor.

Niedawno cały teatralny świat polski uroczyście obchodził 80-lecie jego urodzin. Prof. Frycz ciągle jest czynny jako pedagog, scenograf i reżyser. Karol Frycz pija codziennie od 50 lat kawę u „Noworola“ w Sułkiewiczach.

Fot. OTTO LINK

Z D E R Z E N I A

WYROK

„Oskarżeni świadomi byli wynikającego z ogólnej sytuacji międzynarodowej niebezpieczeństwa, nie chcąc jednak wyrzec się swych zamiarów posługiwali się metodami konspiracyjnymi: ukrywali swe zamiary w oczekiwaniu na teoretyczną konferencję“.

(NEUES DEUTSCHLAND“ z uzasadnienia wyroku w procesie współników Haricha).

Z łamów „Polityki“

PYTANIE

„Czy redakcja „Po prostu“ posiada „monopol“ na odnowę?“ („POLITYKA“).

NIE ROZUMIE

„No i jak rozpoczęło się wiecowanie, naradzanie, zjeżdżanie się — to trwa po dziś dzień i nic nie wskazuje, by owa fala narad i zjazdów miała opadać. Nie rozumiem np. sensu zjazdu prokuratorów. Ustalenie nowych zasad polityki represyjnej mogło odbyć się w gabinecie ministra sprawiedliwości czy generalnego prokuratora.“ („POLITYKA“, z artykułu Koźniewskiego).

ZA „GĘBĘ“ ?!

„Nie jestem zwolennikiem tzw. „zamordyzmu“ ale widzę rację łapania za „gębę“. Naród polski nie jest zdolny i nie zasługuje jeszcze na to, aby korzystać z szerokiej

demokracji“. (z listu do redakcji „POLITYKI“).

Z LECA

„Tragedia R. polega na tym, że kocha się w sobie, a sobą być nie może“. (Z „Myśli Nieuczesanych“ Leca).

ZAUFANIE

„Nie zrewidowaliśmy was przed wejściem do mego pokoju. Mieliśmy do was — jako do porządnego człowieka — zaufanie“. (Z rozmowy Chruszczowa z grupą turystów amerykańskich).

ALKOHOL ?!

„Alkohol pracuje na komunistów i w Nowym Jorku, i w Paryżu, i w Moskwie. Pracuje na nich w dzień i w nocy. To on dał im bombę wodorową“. (UPTON SINCLAIR).

KRYTYKA

„Wy jako zespół nie a nie nie macie do powiedzenia: 1° społeczeństwu, 2° literaturze“, (Prof. Budzyk w liście do redakcji „NOWEJ KULTURY“).

SZKODNICY

„Z wniosków czerwcowego Plenum KC KPZR wynika, że niektóre mgliste i niesłuszne tendencje w teorii i praktyce twórczości literackiej spowodowane były działalnością członków antypartyjnej grupy Malenkowa, Kaganowicza, Molotowa i Szepitowa, który się do nich przyłączył. Tak więc nie mała szkoda przyniosły rozwojowi literatury wulgary-

zujące twierdzenia Malenkowa o typowości, zacieranie z wątpliwych źródeł, Kaganowicz demagogicznie oskarżał dobrych ukraińskich poetów o nacjonalizm. Wystąpienia Szepitowa w sprawie literatury i sztuki wyróżniały się liberalną „opływowością“ i niepryncypialnym, ugodowym podejściem do wyraźnie niezdrowych zjawisk w tej dziedzinie. („LITERATURNAJA GAZIETA“).

LIBERALIZM

„Watykan nie zdementował wiadomości jakoby papież Pius XII miał polecić zrewidowanie indeksu kościelnego. Wśród autorów, którzy mają być wycofani z indeksu wymienią się d'Annunzio, Wiktor Hugo, Benedetto, Croce, a nawet króla Wiktoru Emanuela II“. (HANNOVERSCHE PRESSE).

KLUB NUDZIARZY ?

„Zarówno premier radziecki jak i angielski przyjęli w swej korespondencji swobodny ton, jaki istnieje w rozmowie między dwoma członkami klubu, którzy w uprzejmy sposób wyrażają różnice poglądów. Jednakże z ostatniego listu Bułganina wynika, iż istnieje niebezpieczeństwo przekształcenia się obu członków klubu w klubowych nudziarzy“. („MANCHESTER GUARDIAN“).

CYTAT

„Optymista jest to człowiek, który wierzy, że przyszłość jest niepewna“. (E. Teller, twórca amerykańskiej bomby „H“).

ANKIETA

1. CZY PIJAŃSTWO JEST NASZĄ KLĘSKĄ SPOŁECZNĄ?

2. JAK UCHRONIĆ RODZINĘ PRZED SKUTKAMI PIJAŃSTWA?

3. CZY ISTNIEJĄ SKUTECZNE METODY WALKI Z PIJAŃSTWEM?

Kpt. JÓZEF OLEKSY
(komendant MO)

1. Pijaństwo nie jest jeszcze klęską społeczną, ale może się nią stać, jeżeli nie zostaną zahamowane jego zastraszające rozmiary. Jest to plaga, która najdotkliwiej daje się we znaki osamotnionym w walce z nią organom MO. Szczególnie groźne są jej dwa aspekty: przestępczość na tle pijaństwa oraz demoralizujący wpływ na młodzież.

2. Należy niezwłocznie przystąpić do budowy zakładów leczniczych dla nalogowych pijaków, którzy by prócz leczenia wykonywali określone prace według ustalonego wynagrodzenia.

Należałoby również rozszerzyć koncepcję wypłacania zarobków żonom, usuwając pewne bariery natury prawnej i dostosowując odnośne przepisy do potrzeb chwili obecnej.

3. Walka z pijaństwem musi być generalna, tzn. poczynając od ogólnospołecznego napiętnowania pijaństwa i jego skutków, a skończywszy na ścisłym wprowadzaniu w życie również przez zakłady gastronomiczne i handel detaliczny przepisów ograniczających spożycie alkoholu.

Kary wymierzane przez kolegia orzekające muszą zachować jakąś proporcję w stosunku do wykroczeń pijaka, który przepije np. 500 zł, narobi szkód na 500 zł, poturbiuje lub obrazi kogo z otoczenia i w sumie za to wszystko skazany zostanie na 100 zł grzywny.

Najskuteczniejszym środkiem walki z pijaństwem jest chyba wzrost stopy życiowej i rozwój usług kulturalnych, które stałyby się dostępne nawet dla ludzi o najniższym uposażeniu.

Dr ANTONI KĘPIŃSKI
(adiunkt Kliniki Psychiatrycznej AM)

1. Degradacja moralna człowieka, zanik poczucia obowiązku, wstydu i etyki — to najczęstsze skutki pijaństwa, które prowadzą do stepienia oraz psychozy. Jeżeli do tego dodamy niedorozwinięte pod względem psychicznym lub fizycznym dzieci pijaków oraz właściwy nam styl życia, w którym załatwienie najdrobniejszej nawet sprawy uwarunkowane jest „stawianiem wódki” — to odpowiedź na pierwsze pytanie ankiety musi być twierdząca.

2. Ubezwłasnowolnić pijaków, a ich zarobki wypłacać opiekunom. Ubezwłasnowolnienie winno następować jednak w swego rodzaju trybie doraźnym, a nie trwać długie miesiące lub lata.

Dalszym środkiem jest rozbudowa sieci poradni przeciwalkoholowych i leczniczych alkoholowych (ilość łóżek posiadanych przez nas obecnie jest mniejsza niż była za Franciszka Józefa).

3. Mówiąc o metodach walki z pijaństwem należy pamiętać, że prohibicja w żadnym kraju nie zdała egzaminu, a propaganda przeciw alkoholowa daje zbyt małe rezultaty w stosunku do pracy i kosztów jakie pochłania.

Przed pijaństwem należy chronić przede wszystkim młodzież, która jest niezwykle podatna na degradację. Należy ją czymś zainteresować, wysunąć jakieś głębsze zagadnienia, dać jej sens życia, większą stabilizację i perspektywę awansu. Ogólna atmosfera beznadziejności wytwarza sytuację nerwicową i sprzyja alkoholizmowi. Pijaństwo — to psychoza polegająca na ucieczce od rzeczywistości.

Pijaństwo

Walka z alkoholizmem musi iść drogą pośrednią: drogą przebudowy naszego stylu życia, ograniczenia wyszynków (np. w Szwecji podanie jednego kieliszka wódki uwarunkowane jest spożyciem jednego obiadu) oraz nauczania społeczeństwa (to tylko pozorny paradoks) kulturalnego sposobu konsumowania alkoholu w takich ilościach, mielsach i okresach, które by wykreśliły powiedzonko „upił się jak Polak”.

Dr ERYKA GERARD
(kier. woj. poradni przeciwalkoholowej)

1. Pijaństwo jest klęską społeczną. Powoduje ono ruinę materialną i moralną, zaniedbywanie obowiązków, obniżenie poziomu pracy, rozkład życia małżeńskiego, demoralizację nieletnich z zagrożeniem bezpieczeństwa otoczenia itd.

2. Zwiększyć rygory prawno-administracyjne i stworzyć zakłady odosobnienia dla pijaków tzw. zakłady terapii pracy, w których pijak przechodziłby leczenie odwykowe połączone z pracą. Zarobione pieniądze przekazywano by rodzinie.

Niezwykle ważną rolę odgrywa tutaj opinia społeczeństwa, które niestety wciąż jeszcze współczuje pijakowi lub w najlepszym wypadku... bawi się jego widowiskiem.

3. Walczyć skutecznie z pijaństwem można przez podniesienie stopy życiowej oraz za pomocą rozsądnej propagandy, która by przekonała społeczeństwo, że pijakiem jest nie tylko osobnik tarzający się w rynsztoku, ale każdy, kto systematycznie pije wódkę.

Należy za pomocą surowych środków dyscyplinarnych odalkoholizować nasz sport, który winien być — podobnie jak harcerstwo — ochroną młodzieży przed pijaństwem.

Należy niezwłocznie uruchomić izbę wytrzeźwień i stosować wobec pijaków wysokie mandaty karne, nie pozwalając na jazdę tramwajami, ani taksówkami (a niech sobie idzie z Borku do śródmieścia pieszo), nie sprzedawać pijakowi niczego i nie załatwiać mu żadnej sprawy. Opinia społeczna winna piętnować pijaka na każdym kroku. Na to sobie bowiem zasłużył.

Prof. dr MICHAŁ PATKANIOWSKI
(dziekan Wydziału Prawa UJ)

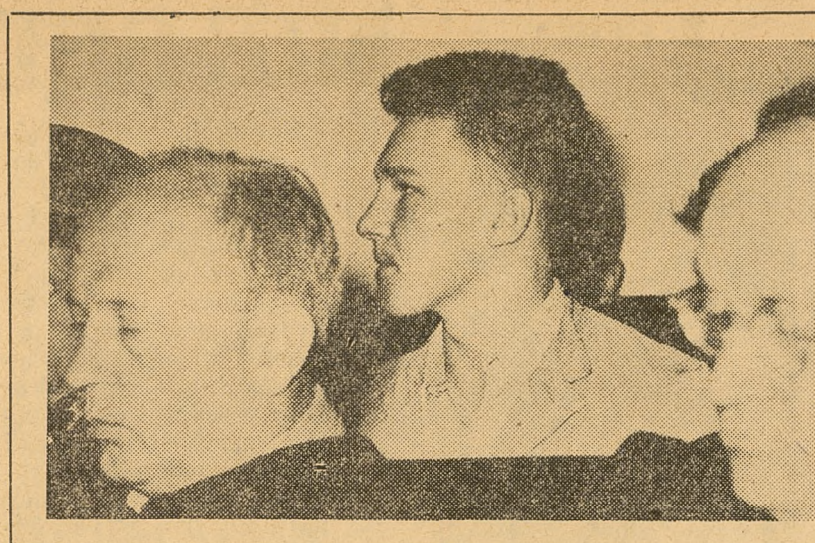
1. Pijaństwo jest klęską społeczną, ponieważ obejmuje swoim zasięgiem olbrzymi procent społeczeństwa i powoduje dotkliwe straty w budżecie rodziny, które są w skutkach niekiedy katastrofalne, a następnie rodzi nieszczęśliwe wypadki, przestępczość na tle alkoholizmu oraz dziedziczne schorzenia u dzieci itd.

2. Należy wprowadzić przymusowe leczenie alkoholików i rozbudować w związku z tym dostateczną sieć zakładów leczniczych o dość surowym rygorze, który by odstraszał pijaka przed ponownym dostaniem się do zakładu.

Przeprowadzać całkowite lub częściowe ubezwłasnowolnienie pijaków przez sąd oraz stosować surowsze represje karne zarówno wobec alkoholików, jak i sprzedawców naruszających przepisy o ograniczeniu sprzedaży alkoholu.

3. Wydaje mi się, że problem pijaństwa „dorósł” już do tego, aby opracować nowe ustawodawstwo po uprzednim szerokim przedyskutowaniu problemu pijaństwa przez prawników, lekarzy i zainteresowane organizacje społeczne. Jest to tym bardziej aktualne i konieczne, że poglądy nasze na popełnianie przestępstw w stanie upojenia alkoholizmem uległy zasadniczej zmianie. Upojenie jest dziś okolicznością obciążającą (za wyjątkiem stanów patologicznych).

Karać mandatami te jednostki, które bardzo często przeszkadzają organom MO w „zaopiekowaniu się” pijakiem. Społeczeństwo musi zrozumieć, że pijak zasługuje na pozbawienie, a nie współczucie.



PROCES GANGU HOLBOYA

SADU DZIEŃ POWSZEDNI

O tym procesie nie pisało się od Rzeszowa po Szczecin, ani też nie przyjechali nań dziennikarze z Warszawy. Akt oskarżenia nie mówi o niczyjej śmierci. I zapewne dlatego sala nr 19 Sądu dla m. Krakowa, sławna onegdaj sala „mazurkiewiczowska” tym razem jest prawie pusta. Milicjanci z znudzeniem popatrzą na obiektyw. Pod balaskami, które przed rokiem omijać mogli tylko posiadacze specjalnych kart, kilka osób szeptem wymieniających rzadkie spostrzeżenia. Nicco na uboczu kobieta o przynębionej, nijakiej twarzy. Matka? Niewiadomo. Zaden z oskarżonych nie obejrzy się w jej stronę.

Sędzia nie musi uciśać publiczności, oczy nie pieką od bezustannych błysków magnesów, warczenie kroniki filmowej nie zagłusza słów prokuratora. Nic tu nie ma dzisiaj z niespokojnej, wiecznie napiętej atmosfery wielkich procesów. Ot, po prostu — sprawa jakichś wiele.

Trzech oskarżonych siedzi obok siebie, czwarty — samotnie z tyłu. Trzech przekroczyło już prawny limit dojrzałości; Jarosław Holboy i Józef Piekarski urodzili się w roku 1930, Stanisław Mrozek — w 1938. Natomiast Jerzy Goralewski ma lat 17. Sprawę jego rozpatruje się łącznie tylko z uwagi na ściśle powiązanie czynów całej czwórki.

HISTORIA DZOKA

Holboy, karany już przez Sąd dla Nieletnich za kradzież, zbiegi z Zakładu w Krzeszowicach przelotnie tylko odwiedzając dom rodzinny. Wędrował po Żywieckiem. Olkuskiem, na koniec powrócił do Krakowa, co nie oznacza wcale, że powrócił do domu. Dni spędzał w sposób sobie tylko wiadomy. Noce — w szopie przy jednej ze szkół. Nie zauważyli go dozorczy, ale te tajemnicze noclegi jakby żywcem wzięte z książki o przygodach trampy, nie uszły spostrzegawczości chłopaków, którzy mieli później nazwać Holboya „Dzokiem” albo „Setem”. Wiedzieli o nim nie za wiele, był jednak najbardziej spośród nich samodzielny, zaznał już niejednego niebezpieczeństwa i przygody — to wystarczyło, żeby podziwiać go, obawiać się, słuchać. Z czasem, kiedy milicja wykryła obecność podejrzanego lokatora w szopie i jeden Holboy umiał uciec oknem, a pozostali musieli się przepierzać na komisarjat, autorytet „Dzoka” stał się już kwestią bezsporną. Mrozek wprowadził go na teren „Solvay” i odtąd Holboy nocował w zabudowaniach Krakowskich Zakładów Sądowych. W tym okresie powstają pierwsze plany.

DEBIUT

Przy Teatrze Młodego Widza trzech młodych pasażerów wsiada do taksówki. Kierunek — Nowa Huta. Jeden wręcza kierowcy 60 zł za datku, przyglądając się uważnie, w której kieszeni taksówkarz trzyma „kasę”. Jest już ciemno, w Hucie wóz zgodnie z poleceniem skręca w boczną, pustą ulicę. Wtedy Mrozek chwytą kierowcę za obie ręce, a „Dzok” z Piekarskim biją go po twarzy.

— Łom! — woła Holboy — Gdzie jest łom?

Ale kawałek żelaza zawieruszył się gdzieś wśród szarpaniny i nie można go użyć. Kierowca odrzucił nagie napaśników, wskoczył z taksówki ucieka wzywając pomocy.

Chłopcy także uciekają, ciemność zaciera ślady i w wozie zostaje tylko łom, który z czasem znajdzie się wśród załączników do „akt karnych sprawy Holboya i innych”.

Tego samego wieczoru „Dzok” proponuje włamanie do Galluxu, jednak pozostali czują się już wyczerpani nadmiarem wrażeń, rezygnują z dalszej akcji. Następuje powrót taksówką (inną oczywiście) i na ulicy Zbrojarzy w Borku Fałęckim — ucieczka przed kierowcą domagającym się uregulowania rachunku.

GANG DZIAŁA

Po tygodniu Mrozek rzuca projekt obrabowania kiosków przy pełni tramwajowej „ósemki”. Holboy decyduje się jednak na wyprawę samotną i w pustej podówczas kasie na boisku „Unii” ukryty zostaje pierwszy łup — towar wartości 3.000 zł.

REPORTAŻ

I odtąd — prawie co dzień — rabunki, włamania, albo ich nieudane próby. Holboy rozbija kłódki, Piekarski otwiera zamki wytrychami, Mrozek i Goralewski pilnują, czy ktoś nie nadchodzi. Dwie ostatnie akcje przed aresztowaniem Holboya prowadzi sam: po niezrealizowanej próbie dostania się do sklepu tekstylnego, a później do Galluxu w Nowej Hucie, rozbija szybę w komisie nr 373 wykradając elektryczną maszynę do szycia i ubezwłasnowolniając dwu dozorców nocnych. Nazajutrz ujęty zostaje przez milicję na Rynku Kleparskim, zanim udało mu się sprzedać maszynę.

DOM

Wyjaśnienia składa Goralewski. — Słuchaj chłopcze — mówi przewodniczący — czy ty przynajmniej próbujesz sobie wyobrazić, co będzie po tej rozprawie?

— A co ma być? Przecież pójdę siedzieć.

— A potem?... bo dzisiaj ty nie masz skończonych 16 lat. Załóżmy, że w zakładzie spędzisz parę następnych. A potem?...

Chłopak milczy i rozgląda się po sali.

— A potem? — przynagla sędzia. Goralewski uśmiecha się, rzuca szybko, w roztargnieniu.

— Roboty jest pełno...

— Matka tu jest?... — pyta sędzia. Jest matka. To ona, płacząc zawołała przed chwilą „stój grzecznie”, kiedy syn wiercił się i kołysał z nogi na nogę przed sądem. Czy chce odpowiadać? Tak, powie wszystko, o co będzie pytana.

Goralewska chce być szczerą. To widać. I niewątpliwie jest szczerą już od pierwszej chwili, kiedy płacząc oświadcza:

— Ale cóż ja mogę o nim powiedzieć, proszę Wysokiego Sądu? Czy ja wiem, czemu on jest taki?

Goralewscy mają troje dzieci. Ojciec pracuje poza miastem, do domu przyjeżdża raz w tygodniu.

Goralewski rzucił szkołę, kiedy zorientował się, że nie przejdzie do następnej klasy. Cóż robił w domu? Do południa — tak sobie siedział, po południu wychodził na spotkanie z kolegami.

— On nie miał celu, proszę Wysokiego Sądu. Inni mają cel przed sobą a on nie miał i już.

16-letni, zdrowy chłopak nudził się, nie miał celu — nie miał też żadnego zajęcia. Czy, ojciec, wprawdzie widziany tak rzadko, ale budzący ponocny respekt i zaufanie — zainteresował się dlaczego z nauką syna jest coraz gorzej, dokąd znika on z domu na długie wieczory, kim są jego przyjaciele; czy pomyślał, jakie bywają konsekwencje nudy, bezczynności, zerwania ze szkołą — a nie rozpoczęcia pracy?

Goralewska nie potrafi dać odpowiedzi na pytanie. Mówi tylko: — Wychowywałam go jak umiem, I to jest tak i że prawda.



MATKA

Natomiast matka „Dzoka” zachowuje uderzający spokój. Jej uwaga skoncentrowała się na jednym punkcie: p o m o c. Wybronić syna od kary. Wpłynąć na złagodzenie wyroku.

— On nie jest zdrowy na rozumie, proszę Wysokiego Sądu..., jak miał 4 lata to spadł z baraku i leżał w szpitalu... jak miał 8 lat, spadł z drzewa złamał rękę i nogę... stałe uciekał z domu... wołał „ratujcie, ratujcie”...

— Czy świadek była w Sądzie dla Nieletnich na rozprawie syna?

— Nie, nie poszłam.

— Czy świadek wie, dlaczego syn znalazł się w zakładzie poprawczym dla nieletnich?

— Tak dokładnie to już nie pamiętam.

— A co świadek może powiedzieć o wychowaniu syna w okresie kiedy uciekł z zakładu?

— No, był w domu.

CIASTKA I ŁOM

— Po tej nocy Holboy przyniósł dwa kartony ciastek, częstował. Jeden karton zjedliśmy na miejscu, a drugim podzieliłymi się na potem — mówi Goralewski.

Holboy przyszedł do mnie i zaproponował, żebyśmy zrobili włamanie, no to ja się zgodziłem, bo akurat miałem wolny czas. Tego szofera napadliśmy tylko tak dla draki, żeby było wesoło, chwyciliśmy go za ręce i zacząłem się śmiać... — mówi Mrozek.

Łom i ciastka. Draka i krzyk przerażonego człowieka. Jedno mieszka się z drugim, jedno towarzyszy drugiemu, o zwyczajnych sprawach dnia mówi się teraz przez sądem. Prokurator i obrońca podzielił się tymi zeznaniami, każdy wyłuszczył swoją połowę racji. Ale dawniej, na wolności, nie istniały żadne rozumowe czy emocjonalne podziały. W 18 roku życia lubiło się jeszcze słodczyce i już umiało się chwycić za żelazo. Papierosy zaczynały dopiero smakować, ale dobrze już znane były nazwiska ludzi, którzy kupią każdą ich ilość nie pytając skąd pochodzą. Po południu kopano się piłkę, wieczorami — były zebrania, rozdzielające robotę na najbliższą noc.

SĄD I ŚMIECH

Który to już raz młoda, ładna pani prokurator powtarza.

— Dlaczego oskarżonym tak wesoło?

Goralewski wypowiedział swą je „pracy jest pełno” usiadł, kryjąc twarz w rękach. Wyglądało to na płacz. Kiedy jednak wyprostował się, zobaczyłam jego dziecienną twarz, poczerwieniałą od tłumionego śmiechu.

Dozorca nocny, którego Holboy pobit w Nowej Hucie, jest inwalidą. Porusza się z trudem, tylko o łasce. „Dzok” patrzy na jego ciężkie, niezdarne ruchy, trąca łokciem Mrozkę, Obaj gryzą wargi.

Cieężko musi być oskarżać w tej prostej, nieposzlakowej sprawie.

— Wolałem z góry do wszystkiego się przynajmniej dostać, przynajmniej dostanę wyrok łącznie i odsiedzę za jednym zamachem, a jakby co wyszło później, to miałbym wyrok dodatkowy — tłumaczy Holboy.

Taka szczerość nie na wiele chyba przyda się obronie. Sądze jednak, że i prokurator chętnie by z niej zrezygnował. Ci chłopcy mają po 18 lat. Dalszych parę lat w więzieniu — kara się skończy, wyjdą na wolność. I co wtedy?

W przerwie rozprawy matka Holboya podchodzi do syna i podaje mu zawiniątko z jedzeniem. Chłopak mówi z nią niechętnie, odwraca się do kolegów.

Matka i syn — dwoje obcych ludzi. Kiedyś był w domu — dzisiaj to już nie aktualne, odtąd będzie w więzieniu. Przecież tamten dom — miejsce do spania, talerz z jedzeniem, coś więcej? — stał się już niepotrzebny.

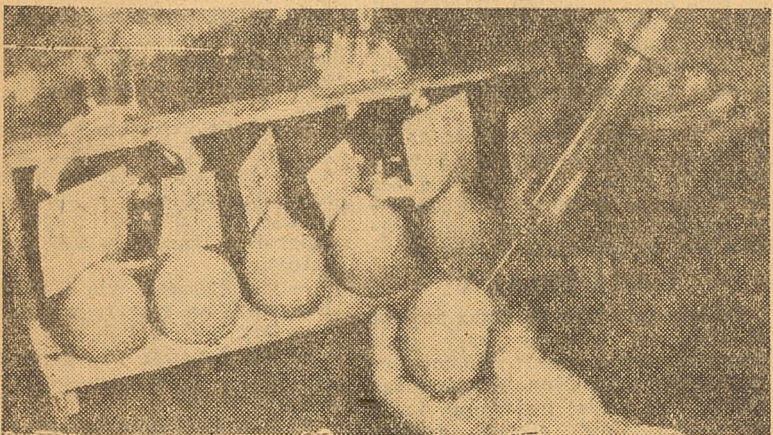
ANNA STROŃSKA

Fot. A. PIOTROWSKI

Coraz szybciej, coraz wyżej — oto cele, które zawsze przyswiewiali wszystkim sportowcom świata. Zdumiewające rekordy ustalone podczas olimpiady berlińskiej w 1936 roku, wydawały się nawet dzisiaj trudne do zdobycia dla każdego sportowca. Dopiero ostatnia olimpiada w Melbourne usunęła w cień rekordy berlińskie.

Wydaje się jednak, że to „polowanie” na rekordy zmienia obecnie swój charakter, odkąd w dziedzinie sportu wkroczyła nauka.

Dr Ernst Grosser, któremu będziemy zawdzięczać przyszłe rekordy sportowe, jest niemieckim biochemikiem, od wielu lat pracującym na uniwersytecie w Kairze. Specjalnością uczonego są badania sprawności mięśni poprzecznie prążkowanych.



Badania dr Grossera doprowadziły go do postawienia śmiałej teorii mianowicie, jeśli uda się przy pomocy naturalnych środków zwiększyć wydajność naszych mięśni, wówczas prawie przed wszystkimi dyscyplinami sportu otworzy się nowa era.

W dalszych badaniach uczonego oparł się na odkryciu, że czynnikiem warunkującym i wyzwającym energię ludzkich mięśni jest związek chemiczny stanowiący adenozynowe sole kwasu trójfosforowego, w skład których wchodzi cząsteczki kwasu fosforowego, cukru i związku purynowego.

Wspomniany wyżej związek umożliwia skurcz mięśni, a w konsekwencji poruszanie się ciała. Ponadto, w kwasie askorbinowym (witamina C) znalazł dr Grosser czynnik, który może przeciwdziałać skurczom mięśni.

Kontynuując swoje ciekawe doświadczenia, dr Grosser wstrzykiwał roztwór adenozynowych soli kwasu trójfosforowego, otrzymanych w dużych ilościach z mięśni, do cytryn zawierających, jak wiadomo znaczne ilości kwasu askorbinowego. Cytryny poddawał następnie procesowi podgrzewania, dzięki czemu zachodziła w nich bio-synteza kwasu

askorbinowego z wspomnianym roztworem. Otrzymany w wyniku naturalny związek, otrzymał nazwę ATP-VC.

W normalnych warunkach pracy mięśni, wyzwała się ze związku adenozynowych soli kwasu trójfosforowego 10 KiloKalorii na jednostkę masy. Po podaniu doustnym w postaci tabletek lub zastrzyków do mięśniowych związków ATP-VC, otrzymujemy co najmniej 30 KiloKalorii, a zatem trzykrotnie zwiększenie efektu pracy mięśni.

Nowy środek został wielokrotnie wypróbowany przez dr Grossera na szeregu sportowców, którzy dobrowolnie poddali się doświadczeniom.

Ostatnio, uczonego pracuje nad wyizolowaniem fermentu, który syntetyzowałby w organizmie ludzkim związek ATP-VC.

Należy jak najusilniej podkreślić, że stosowanie preparatu ATP-VC nie jest żadnym dopingiem dla organizmu, lecz stanowi zwiększenie jego naturalnej sprawności mięśni przy pomocy naturalnego środka.

Można więc sądzić, że już w niedalekiej przyszłości bicie rekordów sportowych stanie się dla zawodników drobnostką.

Opracował:

JERZY KWIETNIEWSKI

NIE BĘDZIE STAROŚCI?

Rewelacją nauki, o której głośno ostatnio na całym świecie, są udane próby leczenia starości, a więc i przedłużania życia, podejmowane przez uczonych rumuńskich. O leczeniu starości nowokainą donosiliśmy przed kilku tygodniami. Obecnie drukujemy pracę z pierwszej ręki. O nowej i niezwykle metodzie osławionej zarówno przez prasę i radio na Wschodzie jak i na Zachodzie pisze jedna z jej autorek profesor Anna Aslan, dyrektor instytutu geriatrii w Bukareszcie.

Działanie nowokainy poczęliśmy badać jeszcze w 1949. Wspólnie z doktorem Nedlerem przeprowadziliśmy serię doświadczeń z białymi szczurami. Okazało się wtedy że stare okazy szczurów, słabe i zniechęcone, nabierały werwy. Ich sierść odzyskiwała połysk. Przybiegały na wadze.

Niezależnie od tych prób robiliśmy i ludziom dożyłne zastrzyki nowokainowe. Byli to przede wszystkim reumatycy. Doktor Erabescu badał natomiast wpływ tego środka na osoby cierpiące na upośledzenie krwioobiegu w nogach. Uzyskaliśmy dobre wyniki w leczeniu zarówno reumatyzmu jak i otych upośledzeń w krwioobiegu. Cięższe jednak było to, że u osób starych zaobserwowaliśmy ogólne ożywienie działalności organizmu oraz zmniejszenie objawów tak zwanego parkinsonizmu (drżenie rąk, nóg, głowy, mimowolne wydzielanie śliny). Staruszkom powracała również pamięć. To wszystko sprawiło że postanowiliśmy wraz z profesorem Parhonom, członkiem Akademii Nauk, wypróbować w roku 1951 leczenie nowokainą grupy starców.

25 osób. Niektórym z nich wstrzykiwaliśmy nowokainę regularnie, przez długi okres czasu. Innym aplikowaliśmy kilka serii zastrzyków. Między poszczególnymi seriami były długie przerwy.

Warto podkreślić że żadne ze staruszków nie umarło, chociaż są to ludzie w wieku od 60—93 lat o mocno zaawansowanych schorzeniach serca, naczyń i systemu nerwowego. Pani Boice Boinu na przykład, w momencie gdy zaczęliśmy jej leczenie w pięćdziesiątym pierwszym roku miała 93 lata. Była bardzo chuda, ważyła zaledwie 42 kilo. Ta przynębiona, złamana staruszka nie opuszczała zupełnie swego pokoju. Cierpiała na bardzo silne zaburzenia pamięci. Rece jej drżały, słuch i wzrok — silnie osłabione. Twarz i ręce miała niemal czarne z typowymi starczymi plamami. Skóra szorstka, mięśnie zwiotczałe, policzki i czoło poryte głębokimi zmarszczkami. Głowa opadająca na piersi. W dodatku dręczył ją rozpręstrzenie po całym ciele świerzb i nie- możność zgłębienia ciała. Żył na rękach były wzdęte. Ciśnienie tętna- cze dochodziło 210/115 milimetrów słupa rtęci.

Obecnie po leczeniu nowokainą Boice Boinu, która liczy sobie już 99 lat czuje się doskonale. Z łatwością — i to kilka razy na dzień — wychodzi sobie na drugie piętro, swobodnie zgina się dosięgając palcami podłogi. Przybyła na wadze 4,5 kilo. Ciśnienie spadło na 190/100. Wróciła jej pamięć wzrosła siła mięśni, polepszył się słuch i wzrok (szyje bez okularów).

I jeszcze jeden przykład. Pani E. Horodecka. Gdy w 1951 zaczęła się leczyć miała 64 lata. W pierwszych miesiącach leczenia chora ta znajdowała się w stanie nieświadomości, przypominającym głęboki sen. Miała podwyższoną temperaturę, rozwinięty jednostronny paraliż mięśni. Nie przerywaliśmy jednakże leczenia nowokainą. Po pewnym czasie wszystkie objawy chorobowe ustąpiły. A od roku 1953 jej zdrowie i

wzrok tak zaczęły się poprawiać że mogła... powrócić do swego starego zawodu: pielęgniarstwa.

Substancję H₃ otrzymuje się w laboratorium naszego instytutu z 2-procentowego roztworu nowokainy. Można również zużytkowywać nowokainę sprzedawaną w aptekach, ale roztwór powinien być świeży, bez żółtawego odcienia. Oprócz tego nie powinien zawierać adrenaliny.

Przed rozpoczęciem leczenia sprawdzamy dokładnie jak organizm danego chorego znosi nowokainę. A jak wygląda leczenie? Dokonuje się 12 iniekcji (po 5 centymetrów sześciennych nowokainy każda). Trzy zastrzyki tygodniowo. Następnie dziesięciodniowa przerwa. Po niej serię powtarza się, znowu dziesięciodniowa przerwa i zastrzyki itd.

Przy profilaktycznym leczeniu pa- uzy między seriami zastrzyków można przedłużyć do 20 dni i więcej. Również i ilość zastrzykiwanej nowokainy może zostać zmniejszona odpowiednio do ciężaru ciała chorego. Wycieczkom nie dawać więcej niż 2,5—3 centymetrów. Stosując tę metodę nie mieliśmy dotychczas żadnych nieszczęśliwych wypadków. Przeciwnie możemy do- nieść tylko o pozytywnych wynikach. Proszę pamiętać że efekt leczenia jest tym widoczniejszy im więcej było serii zastrzyków.

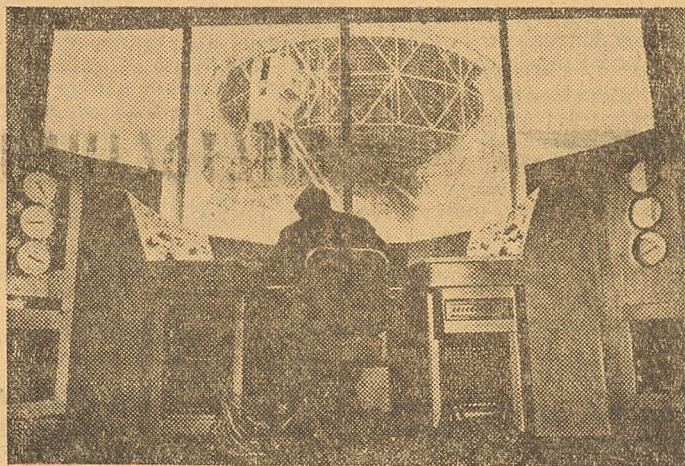
Uważamy że nowokaina wpływa bezpośrednio na korę mózgową. W procesie tym przerywają się refleksy dystroficzne (dystrofia — rozstrój odżywiania tkanek, organów) poprawia się odżywianie systemu nerwowego z gruczołów dokrewnych i całości organizmu. Działanie preparatu H₃ można porównać z działaniem witamin. Przy tym nowokaina zawierająca m. in. kwas paraamino- benzoinowy, jest bardziej aktywna niż sam ten kwas znany pod nazwą witaminy H₁ lub H₂.

Leczenie nowokainą, które należy zaczynać w wieku 40—50 lat polepsza stan fizyczny i psychiczny człowieka, zapobiega pojawieniu się objawów zniechęcenia, chętności. Wyniki naszej pracy potwierdzają poglądy profesora Parhona, który uważał że starość to stan dystrofii, dystrofii którą można i powinno się leczyć.

ANNA ASLAN
Prof. Instytutu Geriatrii w Bukareszcie

NAJWIĘKSZY RADIOTELESKOP ŚWIATA

Zbudowano go w Anglii. Średnica jego wynosi 75 m, waga — 700 ton. Przeznaczenie: podsluchiwanie fal wysyłanych przez ciała niebieskie.



Odrzutowce dokonują wielogodzinnych lotów z szybkością przeszło dwukrotnie wyższą od dźwięku. I trudno pojąć, że zaledwie pół wieku temu — ściślej 17 grudnia 1903 — człowiek dokonał pierwszego w swych dziejach lotu na maszynie cięższej od powietrza. Oto wspomnienie własne wynalazcy maszyny i uczestnika zwycięskiej próby.

Stałem przy jednym ze skrzydeł, chcąc pomóc w utrzymaniu równowagi maszyny podczas nabierania rozpędu. Ale gdy odczepiono przytrzymujący drut, aparat ruszył tak szybko, że mogłem mu nadążyć ledwo przez kilka kroków. Maszyna przebiegła 35 do 40 stóp i ułoniła się w górę.

Ale brat pozwolił jej zbyt szybko się przechylić. Na wysokości kilku stóp znielotowała, a potem opadła na ziemię, poniżej wzgórza zakreśliwszy łuk długości 105 stóp. Mój stoper wykazał, że była w powietrzu dokładnie 3,5 sekundy. Przy lądowaniu lewe skrzydło dotknęło ziemi pierwsze. Maszyna przekoziołkowała, zaryła się hamulcami w piasek i jeden z nich złamała. Różne inne części też były złamane, ale szkoda ogólna nie wyglądała poważnie. Jakkolwiek próba nie wykazała, czy siła silnika była wystarczająca dla utrzymania maszyny w powietrzu, gdyż lądowanie nastąpiło wiele stóp poniżej miejsca startu, eksperyment dowiódł jednak słuszności i praktyczności obranej metody. W sumie więc byliśmy bardzo zadowoleni.

ORVILLE WRIGHT

ZWYCIĘSTWO POD KITTY HAWK

Naprawy zajęły nam dwa dni i maszyna była znów gotowa dopiero po południu 16 grudnia. Wyprowadziliśmy ją z hangaru i dokonywaliśmy ostatecznej kontroli, gdy nadszedł jakiś obcy. Przyjrzywszy się aparatowi zapytał co to jest. Gdyśmy odpowiedzieli, że jest to maszyna do latania, spytał czy myślimy w niej latać. Odrzekliśmy, że tak, skoro tylko wiatr będzie odpowiedni. Tamten przyglądał się jeszcze przez kilka minut, a potem, chcąc być uprzejmy, powiedział, że istotnie będzie to pewnie latać przy „odpowiednim wietrze”. Bardzo nas tym ubawił, gdyż miał niewątpliwie na myśli — mówiąc o „odpowiednim wietrze” — niedawny 75-milowy sztorm.

W nocy dał silny i zimny północny wiatr. Kiedy wstałmy rankiem 17-go, kłuże wody, powstałe w czasie ostatnich deszczów, pokryte były lodem. Prędkość wiatru wynosiła 10 do 12 metrów na sekundę (22 do 27 mil na godzinę). Liczyliśmy, że powinien niedługo zaciemnić i kilka godzin przeczekaliśmy w domu. Gdy jednak o dziesiątej wiatr był równie ostry jak przedtem, postanowiliśmy wyprowadzić maszynę i spróbować lotu. Wywieśliśmy sygnał dla personelu Stacji Ratunkowej. Sądziliśmy, że przy ustawianiu pod wiatr, maszyna przy silnym wietrze, powinna wznieść się na równym terenie przyobozowym. Docenialiśmy trudność lotu przy takiej prędkości wiatru, liczyliśmy jednak, że wzmo-

żone tym niebezpieczeństwo złagodził częściowo wolniejsze lądowanie.

Urządziliśmy rozbieg na równym kawałku terenu, mniej więcej sto stóp na zachód od nowego hangaru. Trudno było pracować na wąskim zimnym wietrze i musieliśmy często wracać dla rozgrzewki do izby mieszkalnej, gdzie za- improwizowaliśmy znakomity piecyk z dużej puszki karbidu. Nim wszystko było gotowe pojawili się J. T. Daniels, W. S. Dough i A. D. Etheridge ze Stacji Ratunkowej „Zabij Diabła” oraz W. C. Brinkley i młody chłopak Johnny Moore.

Mieliśmy ręczny anemometr Richarda, którym mierzyliśmy prędkość wiatru. Pomiary bezpośrednio przed pierwszą próbą lotu wykazały prędkość 11 do 12 metrów na sekundę, czyli 24 do 27 mil na godzinę. Pomiary przed lotem ostatnim wykazały 9 do 10 metrów na sekundę. Wreszcie tuż po locie mieliśmy nieco ponad 8 metrów. Dane Państwowego Biura Meteorologicznego w Kitty Hawk podawały prędkość wiatru w godzinach między 10.30 a 12-tą, czyli w porze 4 prób lotu, na przeciętnie 27 mil w chwili pierwszego lotu i 24 mile w chwili ostatniego.

Przy całej mojej wiedzy i umiejętności, nabytych w tysiącnych próbach ostatnich dziesięciu lat, nie spodziewałem się abym przy takim wietrze mógł dokonać mego pierwszego lotu na nowej maszynie, jakkolwiek wiedziałem, że maszyna

była pewna i już wypróbowana. Po tylu latach doświadczeń myślę że zdumieniem o naszym zachwaleństwie w podejmowaniu prób lotu na nowej i niewypróbowanej maszynie w takich okolicznościach. Jednakże zaufanie do naszych obliczeń i konstrukcji pierwszej maszyny, opartych na zestawieniu ciśnienia powietrza, uzyskanym po wielomiesięcznej gruntownej pracy w laboratorium, a także wiara w nasz system kontrolny, osiągnięty po trzech latach doświadczeń w zakresie równowagi ślizgowców w powietrzu, wszystko to upewniło nas, że maszyna zdolna jest unieść się i utrzymać w powietrzu i że przy niewielkiej praktyce można na niej latać.

Ponieważ Wilbur dokonał już nieudanej próby 14-go, obecnie kolej pierwszej próby wypadła na mnie. Zapuściłem motor, aby się rozgrzał i po kilku minutach odczepiłem drut, przytrzymujący maszynę, która ruszyła naprzód pod wiatr. Wilbur biegł z boku przytrzymując dla równowagi skrzydło. W przeciwnieństwie do poprzedniego dnia, kiedy była cisza, maszyna przy 27-milowym wietrze ruszyła bardzo powoli. Wilbur mógł nadążyć aż do chwili, gdy przebiegłszy 40 stóp oderwała się od ziemi. Jeden z ratowników zrobił zdjęcie w chwili, kiedy maszyna uniosła się na wysokość ok. dwóch stóp. Jej powolny ruch naprzód łatwo zauważyć na zdjęciu z postawy Wilbura; nadszedł bez żadnego wysiłku,

Kurs lotu, w górę i w dół był szalenie zmienny po części z powodu nieregularności powietrza; a po części dla braku doświadczenia w kierowaniu maszyną. Posługiwanie się przednim sterem było trudne, ponieważ był ustawiony zbyt blisko środka. Wskutek tego obracał się po naciśnięciu w pewnej mierze sam i w rezultacie odchylał się zbyt daleko i w jedną i w drugą stronę. Skutek był ten, że maszyna wznosiła się nagle do wysokości ok. 10 stóp by potem równie gwałtownie opadać ku ziemi. Lot zakończył się takim nagłym spadkiem w odległości nieco ponad 100 stóp od końca rozbiegu, a nieco ponad 120 stóp od punktu wznieślenia się w powietrze. Ponieważ prędkość wiatru wynosiła ponad 35 stóp na sekundę, a szybkość maszyny nad ziemią i przeciw wiatrowi — dziesięć stóp na sekundę, szybkość maszyny w stosunku do powietrza uznać można za ponad 45 stóp na sekundę, a długość lotu za odpowiadającą lotowi na 540 stóp w powietrzu nieruchomym.

Lot trwał wszystkiego 12 sekund, niemniej było to pierwszy raz w dziejach świata, kiedy maszyna niosąca człowieka uniosła się własną siłą w powietrzu, dokonała przelotu bez zanikającej szybkości i wreszcie wylądowała w punkcie nie niższym od punktu startu.

Z pomocą naszych gości przeciągnęliśmy aparat z powrotem do rozbiegu i przygotowaliśmy się do nowego lotu. Wiatr jednak przemożił nas tak gruntownie, że przed nową próbą udaliśmy się wszyscy do hangaru, aby się rozgrzać. Johnny Moore zobaczył pod stołem skrzydło pełną jaj i zapytał jednego z ratowników skąd myślny tyle ich

(Dokończenie na str. 6)



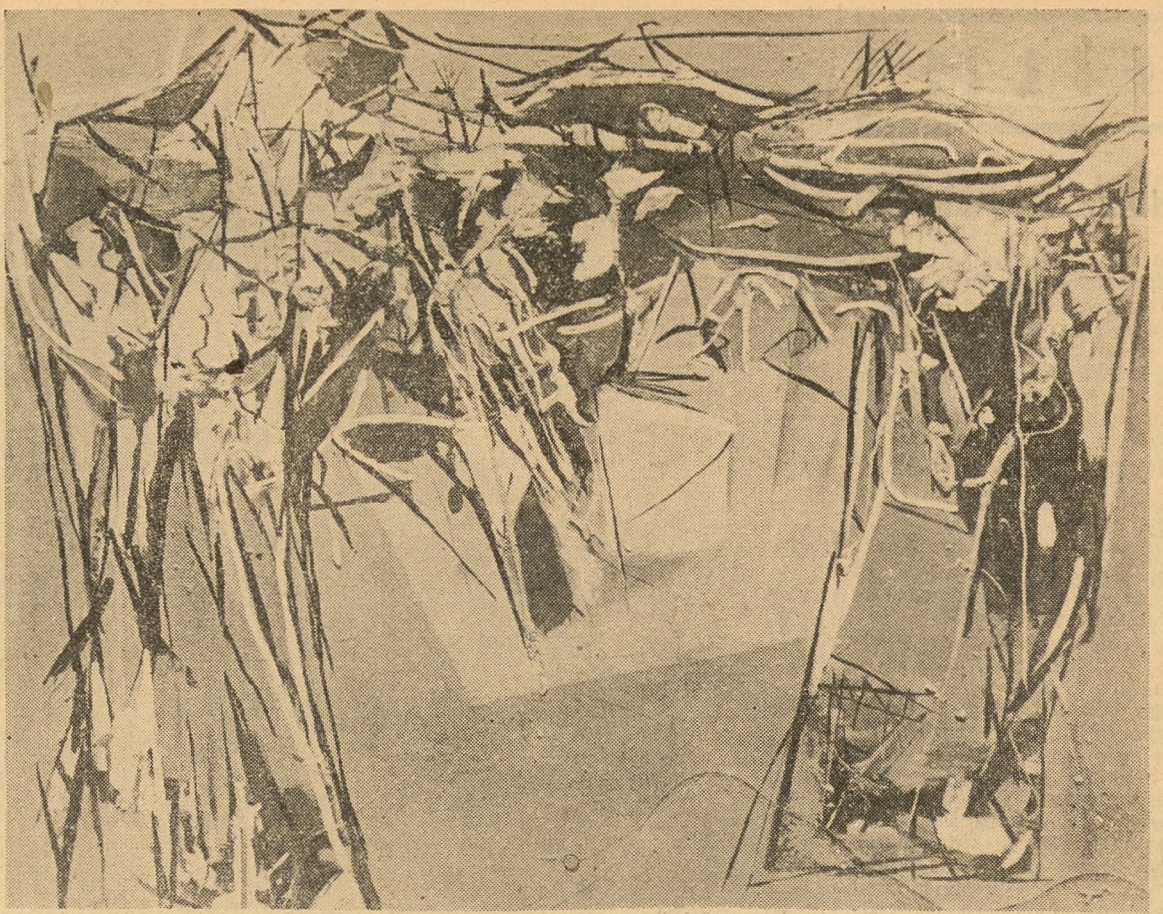
„KAMAMAGANGA“ (1957)



„RACH CIACH“ (1956)



„MODEL“ (1952)



„SALWARSAN“ (1957)



TADEUSZ KANTOR KRZYSZTOFORY

Świadomie pomijam rozdział, który mógł być zatytułowany „moda na piwnice“, albo „żałosne wpływy egzystencjalizmu francuskiego na krakowskich brodaczy“, lub „nic nowego“. Naszym nieszczęściem są rozważania pryncypialne, które niszczą wszelką inwencję, inicjatywę i realizację. Okryte szczelnie godnością i pozorami mądrości, wynikają w gruncie rzeczy z kompletnego braku wyobraźni i prowincjonalnej głupoty.

Jeśli proponuję: galerię malarstwa w piwnicach, teatr w piwnicach, to bynajmniej nie staję się przez to wrogiem innej koncepcji, bardziej „przestrzennej“, urządzania teatrów na wolnym powietrzu, angażowania się plastyki w urbanistycę i architekturę. Już widzę, jak Miejska Rada Narodowa zamawia wspaniałe rzeźby — np. u Jaremiarki, Siekluckiego, czy Zbrożyny — które staną na plantach, w parkach, na Wawelu, w Rynku. Trudniej jest stworzyć sobie wizję malarstwa w przestrzeni, gdyż nasza urbanistyka i architektura leżą w skandalicznie odległej przeszłości.

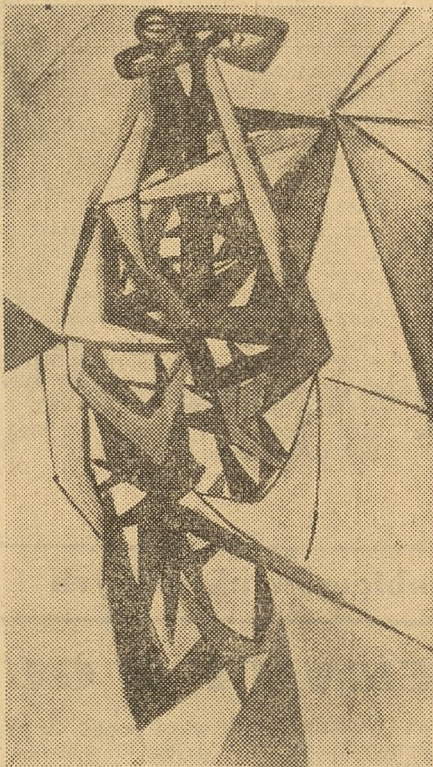
Wydaje mi się, że jedyną przyszłością Krakowa jest połączenie

starych zabytków z ultra-nowoczesnością, tak jak to robią dziś Włosi z niesłychaną brawurą. Brawura ta okazała się równocześnie taktem. A Włosi dźwigają chyba na sobie niemal balast tradycji.

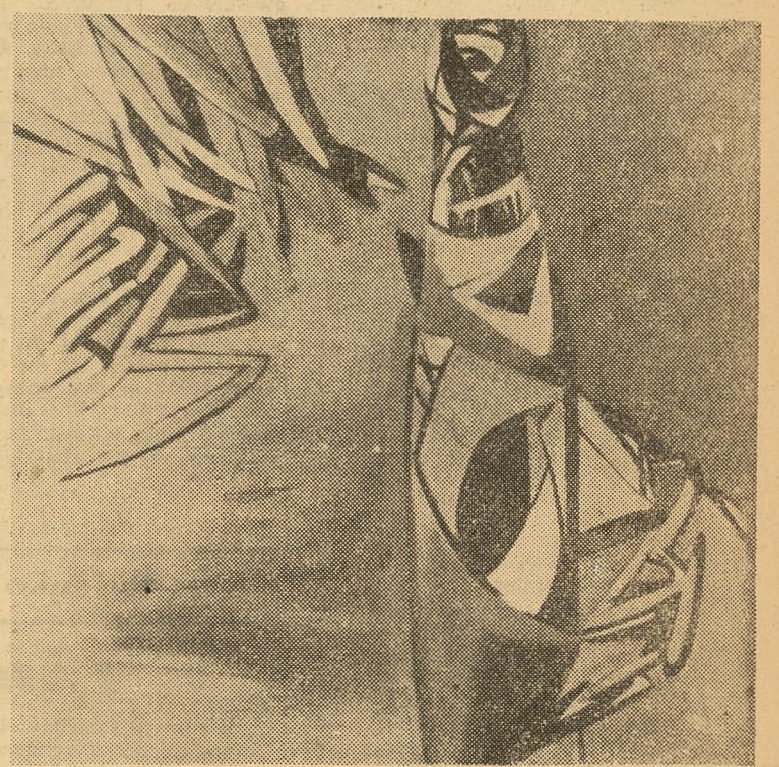
A więc stała, zmieniająca się wystawa sztuki nowoczesnej w piwnicach „Krzysztofory“. tamże nowoczesny teatr obliczony na 140 miejsc, tamże kawiarnia i dancing. Czy wytworzy się na skutek tego środowisko artystyczne, tak potrzebne dla życia artystycznego „cyganeria“ („nic nowego proszę pana“) — to się pokaże. Koncepcja bardzo prosta: Do starego wnętrza, liczącego sobie dobrych kilka wieków, o wspaniałym beczkowym sklepieniu wsunąć nowoczesne urządzenie i nowoczesną myśl tak jak do starego pieca wsuwa się ciasto z drożdżami. Niech rośnie.

Miejska Rada Narodowa naszego 1000-letniego miasta podejmując tę koncepcję, i na pewno wiele dalších tego rodzaju, przekreśla szczęśliwie swoje tradycje eklektyzmu i uwielbienia li tylko przeszłości.

TADEUSZ KANTOR



„CZŁOWIEK
Z PARASOLEM“ (1949)



„PERIL“ (1952)

W następnym numerze
SZTUKA A PORNOGRAFIA

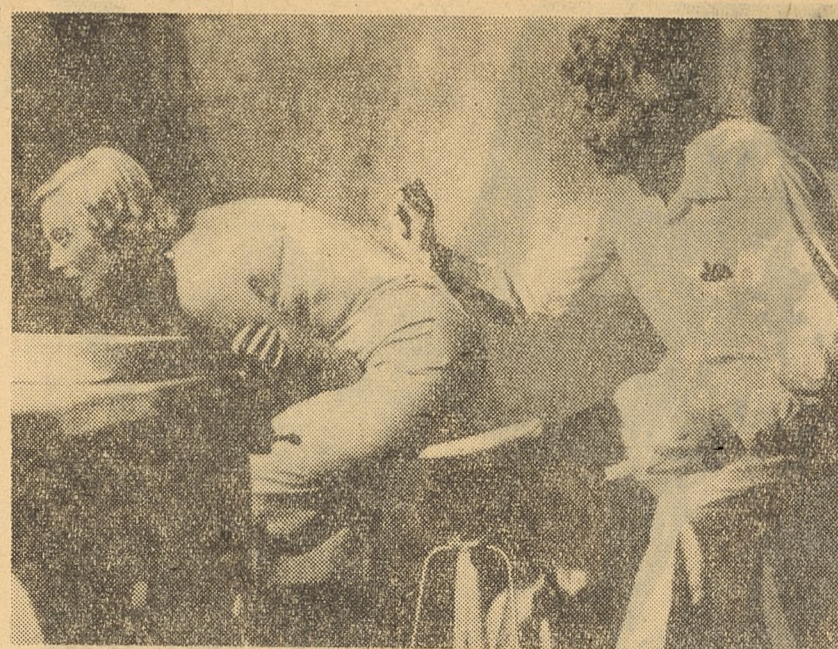
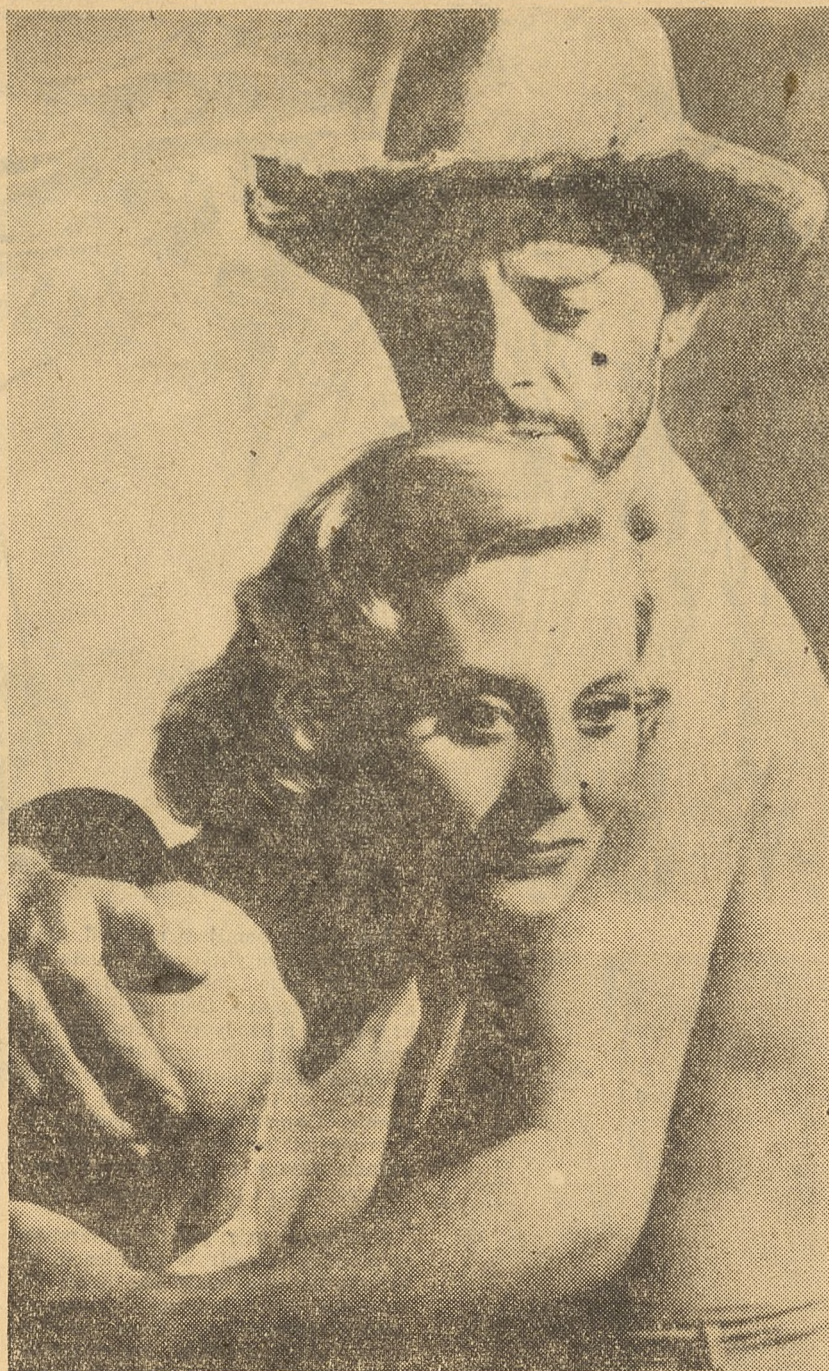
Paul Valery: O NAGOŚCI

PRZYGODA W MEKSYKU

„Odrodzeni” francusko — meksykański film reżyserii Yves Allegret'a (znanego nam z realizacji „Cud zdarza się raz”), zaliczyć należy do rzędu tych utworów, które odniosły sukcesy za granicą, dopiero obecnie trafiają na nasze ekrany. Wyprodukowany w roku 1953, w tym samym czasie otrzymuje Międzynarodową Nagrodę na Biennale w Wenecji. Terenem realizacji filmu jest niewielki port położony w pobliżu Vera Cruz w Meksyku, w którym realizatorzy francuscy umieszcili niecodzienną przygodę, jaka wynika ze spotkania pięknej Michele Morgan z miejscowym wykołajcem i pierwszy raz u nas widzianym w takiej roli, Gerardem Philipem.

Do tego to zgiełkliwego i dyszącego żarem upału portu, przybywa z umierającym na nieznaną chorobę mężem Michele. W obcym mieście pozostaje jej tylko tyle pieniędzy, by móc zawiadomić o wypadku i prosić o pomoc krewnych we Francji. Na odpowiedź oczekuje w hotelu, którego właściciel (Victor Manuel Mendoza) nie przebiera w środkach, by należność odebrać w naturze. Sytuację młodej wdowy pogarsza jeszcze rozszerzająca się w mieście epidemia. Stałym mieszkańcem miasteczka, jego pośmiewiskiem i obiektem złośliwości jest młody lecz stale pijany i niechlujny mężczyzna. Jego to od początku pobytu w mieście spotyka stale na swej drodze Michele, on stara się jej jakoś pomóc, dla niej w pijackiej mialignie tańczy. Okazuje się nim dawny lekarz, który stał się nałogowym pijakiem, lecz nie zapomniał swej wiedzy i nie stracił humanitarnego odczuwania do bliźnich. Tych dwoje młodych i nieszczęśliwych ludzi znajduje miłość, której pobudek doszukają się Czytelnicy w filmie.

Mt.



PSYCHOLOGIA

Dlaczego większość ludzi najchętniej „ulołniałaby się”, gdy słyszy pukającą do drzwi „kochana teściowa”? Czy rzeczywiście teściowe są aż tak złe, jak to się ogólnie twierdzi? Jak powstają rodzinne konflikty i jak można im zapobiec. Dr. Evelyn Duval — z amerykańskiego instytutu badań rodzinnych podjęła masowe badania 5.200 mężczyzn i kobiet, przepytano w sprawie ich nastawienia do swych krewnych. Niektórzy z nich przeżywali jeszcze młody miesiąc, inni mieli za sobą więcej niż 40 lat małżeńskiego pożycia, większość jednak to ludzie o 10 letnim stażu małżeńskim.

Prawie wszyscy, narzekali na kłopoty z krewnymi, przy czym zgodnie stwierdzono, że teściowe to problem numer 1. Potem wymieniono w kolej jako dalszych sprawców niesnasek rodzinnych: bratową, szwagra, teścia. Bratowej zarzucano wścibskość, obojętność a nawet wrogość. Po większej części konflikty na tym tle powstawały ze starszą siostrą małżonka. Współżycie z siostrą małżonki raczej nie dawało powodów do narzekania.

Teściowe, na to żalili się wszyscy najwięcej, mieszały się do spraw, które ich nic nie obchodziły. Są za krytyczne i zawsze przekonane o swej słuszności. Takie cechy jak: wścibskość, natarczywość, gderliwość i żądza władzy to powód do przynajmniej 60% wszystkich żalów. Żale te są tak typowe, że można mówić o „syndromie teściowej”. Syndrom to według dr. Duval symbol grupy charakterystycznych symptomów, które stanowią kliniczny obraz choroby. Dalszą porcją zarzutów pod adresem teściowej idzie niespodziewanie w przeciwnym kierunku. Teściowa nas ignoruje, brak jej ciepłych uczuć, jest obojętna.

SZEŚĆ DOBRZYCH RAD

Test udowodnił, że dzieci o wiele więcej krytykują swoich rodziców niż na odwrót. Kawały o teściowej są stare jak świat, przy braku żartów na temat zięciów czy uprzedzeń w stosunku do synowej.

DYLEMAT KREWNYCH W ŚWIELE NAUKI

Fakt, że nieomal nigdy nie krytykowano dzieci (tj. synowych czy zięciów) stawia cały problem teściowej w innym świetle. Młodzi ludzie nie są ani bez błędów ani lepsi. Przeciwnie starsi są dojrzałsi i bardziej tolerancyjni. Gdyby młodzi chcieli to zrozumieć, z harmonią rodzinną byłoby niewątpliwie łatwiej. Wieczne naganę młodej pary określiła pewna matka następującymi słowami: „gdy polecam ulubioną potrawę syna — to jest to chęć rządzenia. Kupuję córce nową suknię — to jest mieszanie się. Kołyszę wnuka podczas snu — jestem staromodna, n'e robię tego, to nie nadaje się do opieki nad dziećmi. Odwiedzam młodą parę — jestem wścibska, nie czynię tego nie wykazuję ani miłości ani zainteresowania”. Dr. Duval daje następujące rady, które powinny pomóc do zachowania harmonii: 1) Jeśli macie zamiar się żenić, powiedomcie o tym rodzicom a nie stawiając ich przed dokonany faktami. To rani i psuje późniejsze stosunki. 2) Dyskutujcie wszystkie sprawy sporne, które są nieuniknione. Tylko przez szczerą rozmowę następuje zbliżenie. 3) Przy kłótni unikaj powiedzeń w rodzaju: „Ty jesteś całkiem jak twoja matka”. To działa zabójczo. 4) Nie pozwólcie matce odczuwać, że jest wam obojętna jak się ubiera i co robi. Gdy dzieci dorosną, pozostaje matka ze swymi wspomnieniami sama i łatwo może stracić zainteresowanie tak dla swojej osoby, jak dla otaczającego ją świata. 5) Jeżeli mieszkacie razem, to szanujcie prywatną atmosferę, której każdy potrzebuje. 6) Nie zapominajcie o rewanżu. Wiele młodych par bywa u rodziców na przyjęciach nie zapraszając ich do siebie ani razu.

Zwycięstwo pod Kitty Hawk

(Dokończenie ze str. 4)

wzieli. Ludność okoliczna żyje tylko rybami, złowionymi w czasie krótkiego okresu połowów, więc ich zapasy innych artykułów żywności są bardzo ograniczone. Chłopak pewnie nigdy w życiu nie widział tyłu jaj naraz.

Zagadnięty spytał żartobliwie chłopca, czy nie spostrzegł kurczaka, który biegł w pobliżu hangaru. „To ta mała kurka składa dzień po dziesięć jaj!” Moore, który widział przed chwilą jak spota, ciężka maszyna unosiła się w powietrze i latała, co w owych czasach uważano za niemożliwość, gótown był uwierzyć we wszystko. Mimo to wybiegł, przyjrzał się cudownej kurce i wrócił z uwagą, że „wygląda na zwyczajnego kurczaka”.

Dwadzieścia po jedenastej Wilbur przystąpił do następnego lotu. Kurs tego lotu, podobnie jak pierwszego, był ciągle w górę i w dół. Szybkość nad ziemią okazała się nieco większa, gdyż wiatr trochę

osłabł. Czas trwania wynosił niecałą sekundę dłuższą, lecz odległość o osiemdziesiąt pięć stóp dłuższą.

W dwadzieścia minut później rozpoczął się trzeci lot. Był bardziej wyrównany niż pierwszy, przed godziną. Posuwałem się wcale ładnie, gdy nagle podmuch wiatru z prawej strony uniósł maszynę na 12—14 stóp w górę i przechylił ją na bok w niepokojący sposób. Zaczęła gwałtownie przewracać się w lewo. Próbowałem odzyskać równowagę i wyrównać skrzydła, a równocześnie skierowałem maszynę w dół chcąc jak najprędzej lądować. Ster poprzeczny działał skutecznie, niż sobie wyobrażałem i zanim dotknąłem ziemi prawie skrzydło znajdowało się niżej lewego i pierwsze uderzyło o grunt. Czas trwania lotu wynosił 15 sekund, a przestrzeń pokryta — nieco ponad dwieście stóp.

Wilbur rozpoczął czwarty i ostatni lot równo o 12-ej. Pierwszych paraset stóp wicherował w górę i na dół, jak przedtem, ale zanim przeleciał 300 stóp maszyna zaczęła iść równo. Dalszy kurs biegi po linii bardzo mało falistej. Jednakże po przejściu ok. 800 stóp, łącznie,

maszyna znowu zaczęła rzucać i przy którymś spadku uderzyła o ziemię. Przebyta odległość wynosiła 852 stopy, czas trwania lotu — 59 sekund. Rama podtrzymująca ster przedni strzaskana, ale główne części maszyny wyszły bez szwanku. Sądziłem więc, że za dzień czy dwa będziemy znów mogli latać.

Gdy tak staliśmy omawiając ostatni lot, gwałtowny podmuch wiatru uderzył nagle maszynę i zaczął ją przewracać. Wszyscy skoczyliśmy na ratunek. Wilbur, który stał najdalej, chwycił ją z przodu. Daniels i ja staraliśmy się przytrzymać tył maszyny.

Wszystkie nasze wysiłki spełzyły na niczym. Maszyna raz po raz się przewracała. Danielsa, który nie puszczał, pociągnęła tak mocno, że pod wpływem podrzutu znalazł się w środku maszyny. Na szczęście nie uległ większym obrażeniom, tylko posiniaczył się mocno uderzając o motor, łańcuchy, przekładnię itd. Natomiast dla maszyny wypadek miał opłakane skutki: motor uszkodzony a rama i różne części doszczętnie polamane. O nowych lotach jeszcze w tym roku nie mogło być nawet mowy.

Okienko problemów aktualnych

Okienko problemów aktualnych

LAKIERNICY Z GUS-u ZNOWU W AKCJI

Kiedy powszechna krytyka solidnie dobrała się do skóry naszej ekonomiki, m. in. padł wówczas pod adresem Głównego Urzędu Statystycznego słuszny, przez nikogo nie kwestionowany postulat: należy czym prędzej zabrać się wreszcie po długoletniej przerwie do badania budżetów rodzinnych. Postulat ten wynikał z akceptacji stanowiska, że aby móc naprawić naszą gospodarkę, trzeba najpierw dokładnie poznać sytuację, w jakiej się znajduje i to możliwe ze wszystkich stron.

A więc poznajemy teraz — choć nierzadko włosy stają nam od tego na głowie ale przynajmniej poznajemy całą prawdę. To dobrze, bo bez tej prawdy nasza przyszła polityka gospodarcza znowu narażona byłaby na niepowodzenia. Tak, narażona byłaby na niepowodzenia również i bez rzetelnej wiedzy o strukturze budżetów rodzinnych ludzi pracy, wiedzy, za zdobywanie której ponosi odpowiedzialność przede wszystkim GUS. A czy wziął sobie do serca, czy zabrał się do tej pracy w sposób nie wzbudzający żadnych wątpliwości — osądźcie sami.

Ze statystyk wynika, że przeciętny obywatel naszego państwa wydaje ze swych dochodów na zakup artykułów przemysłowych nie-

wiele ponad 40 proc. W krajach wysoko uprzemysłowionych wskaźnik ten waha się w granicach od 70—80 proc. Trudno oczywiście z całą odpowiedzialnością porównywać te obliczenia, jeśli np. wiadomo o czyjegoś to natchnienia w jednym roku takie artykuły jak mydło i papierosy traktowane są u nas jako artykuły przemysłowe, a już w następnym roku jako spożywcze, a z kolei w następnym znowu odwrotnie. Chyba dla urozmaicenia. Mielśmy prawo przypuszczać, ba, mogliśmy być przekonani, że kto jak kto, ale tak poważna instytucja jak GUS i to w roku 1957 nie ma z podobnymi praktykami nic wspólnego. A tymczasem...

W całym cywilizowanym świecie wódka traktowana jest przez statystyków jako artykuł spożywczy. Inaczej w naszym GUS-ie. Tutaj przy okazji obliczania budżetów rodzinnych została potraktowana jako artykuł przemysłowy.

Ktoś powie — drobiazg, inny zacznie udowadniać, że jednak skoro wódka pochodzi z gorzelnii, czyli z zakładu przemysłowego, to w takim razie jest to istotnie artykuł przemysłowy. Oczywiście, oczywiście, tą drogą można by również udowodnić, że marmolada,

cukier, czekolada, konserwy to również artykuły przemysłowe. I w ten sposób z kolei również można by udowodnić i to, że w naszym kraju jest wcale wysokie spożycie artykułów przemysłowych. Coś podobnego zdaje się chciał uczynić GUS, kwalifikując wódkę do kategorii wyrobów przemysłowych. A można tak sądzić w oparciu o pierwsze wyniki GUS-owskich badań budżetów rodzinnych. Istotnie, procent wydatków na zakup artykułów przemysłowych przedstawia się tam dość optymistycznie, przekracza 50 proc. czyli że wcale znowu tak bardzo nie stoimy w tyle na tym polu w porównaniu z krajami o wysokiej stopie życiowej. Naturalnie tylko w interpretacji GUS-owskiej, a że przy tej sposobności zostaną wprowadzeni w błąd nasi działacze gospodarczy i podważone zaufanie społeczeństwa do instytucji, która powinna cieszyć się nieskazitelną reputacją. — to już widać nie takie ważne. Swoją drogą, taką metodą, traktując konserwy, cukierki, pieczywo, wódkę itp. jako artykuły przemysłowe, możemy bardzo szybko dogonić nawet Stany Zjednoczone w spożyciu artykułów przemysłowych na głowę ludności. A komu to bedziemy mieli do zawzięcia? Oczywiście GUS-owi. Brawo! (B)



ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

13)

GRUPA „SECTION D'OR“

W okresie przejściowym od kubizmu analitycznego do syntetycznego interesująco rysuje się również działalność grupy „Section d'Or“ (Złoty podział), która jesienią roku 1912 urządziła w Galerii La Boétie swoją wystawę. Wystawa zgromadziła i skonfrontowała ze sobą dzieła prawie wszystkich malarzy kubistów. Były tam obrazy Légera, Marcellego Duchampa, Juana Grisza, Duchamp-Villon, Agero, Picabia, Delaunay'a, Valensiego, Lhote'a, Herbina, Metzingera, Marcoussisa, Gleizesa, La Fresnaye'a, Segonzaca, Moreau, Marchanda, Dumonta i Jacques Villona. Zabrakło tylko Picassa i Braque'a, którzy swoje prace wystawiali wyłącznie w galerii Kahnweillera.

Równocześnie założono pismo pt. „La Section d'Or, którego wyszedł jeden numer.

Wystawa przy ulicy La Boétie wywołała duże poruszenie. Krytyka przyjęła ją na ogół wrogo, oskarżając uczestników o mistyfikację a nawet antypatriotyzm. Było to wynikiem zarówno niezrozumienia jak i złej woli. Niewątpliwie wielu z wystawiających tam malarzy wzięło z kubizmu jedynie jego stronę najbardziej zewnętrzną, dopatrując się jego istoty wyłącznie w stylizacji geometrycznej. Odwoływanie się do geometrii służyło im przede wszystkim do rozwiązywania zagadnień architektury obrazu, wywodzącej się bezpośrednio od doświadczeń cezannowskich. Różnorodność ujęcia zagadnienia, opieranie się na doświadczeniach kubizmu, względnie przeciwstawianie się im, spowodowało na wystawie „Section d'Or“ rozbieżności, z których później rozwinęły się takie kierunki jak abstrakcjonizm, dadaizm czy surrealizm.

Głównym inicjatorem manifestacji „Section d'Or“, twórcą nazwy i współorganizatorem wystawy był malarz i grafik Jacques Villon. W jego atelier w Puteaux zbierali się liczni artyści, pasjonujący się problemami rytmu i proporcji. Wyróżnić tu należy dwóch teoretyków kubizmu: Gleizesa i Metzingera, następnie Picabia, Légera, R. de La Fresnaye'a a także poetów P. Forta, Ribemonta-Dessaignes'a, J. Cocteau, J. Gasqueta, Villon rozwinął swoją teorię w oparciu o poglądy Leonarda da Vinci, zaś nazwę „Złoty podział“ zasugerował mu traktat Luca Paciolo „De divina proportione“, wydany w Wenecji w r. 1509, a ilustrowany przez L. da Vinci. Kubistów spod znaku „Section d'Or“ interesowało nie tylko stosowanie jako idealnej proporcji, stosunku przekątnej do boku kwadratu, ale w ogóle wszelkie stałe stosunki liczbowe. Konieczne jednak należy tutaj pamiętać, że geometria nie była celem lecz środkiem do poszukiwań, dla których punktem wyjściowym była wielka lekcja architektury, wyłożona w obrazach Cezanne'a.

KUBIZM SYNTETYCZNY

Dla kubizmu syntetycznego jako datę początkową przyjmuje się rok 1913. U Picassa faza ta trwa do lat 20-tych, u Grisza aż do jego śmierci w roku 1927, u Braque'a, który rozwinął swój własny, odrębny styl, dominuje do dnia dzisiejszego, mimo oddziaływania wpływów obcych,

Kubizm syntetyczny przywraca pełne znaczenie przedmiotowi, rozpatruje go w całości, dąży do jego syntezy, uwzględniając najbardziej zasadnicze aspekty. Rezygnuje nawet z całkiem płaskich i równoległych do siebie planów przestrzennych, wszystko sprowadza na jeden plan płaszczyzny obrazu. Zarzuca całkowicie perspektywę, stosuje płaskie plamy barwne, wzbogaca i nasycą gamę stosowanych kolorów. Malarstwo staje się wyraźnie tematowe; obok licznych martwych natur występują kompozycje figuralne. Nie znaczy to jednak, że w okresie kubizmu syntetycznego artyści cofają się wstecz i ograniczają się do odwzorowywania rzeczywistości. Przedmiot zostaje przez artystę odpowie-

dnie zinterpretowany i geometrycznie określony; malarz stara się przy pomocy formy i koloru wydobyć i oddać jego charakter. Przedmiot w ścisłym powiązaniu ze swoim otoczeniem staje się formalnie funkcjonalny, gdyż według kubistów forma jest funkcją charakteru przedmiotu czy postaci. Równocześnie zmieniają się dymensje przedmiotu, zachodzą zmiany w jego proporcjach. Przedmiot staje się rozciągliwy, zdolny do przekształceń w zależności od roli jaką odgrywa.

I to, że w fazie kubizmu syntetycznego Picasso nagle zaczyna malować swoje korpulentne Greczynki (tzw. okres ingresowski), nie wynika z chęci epatowania widza nowym pomysłem, ale stanowi kolejny ekspe-

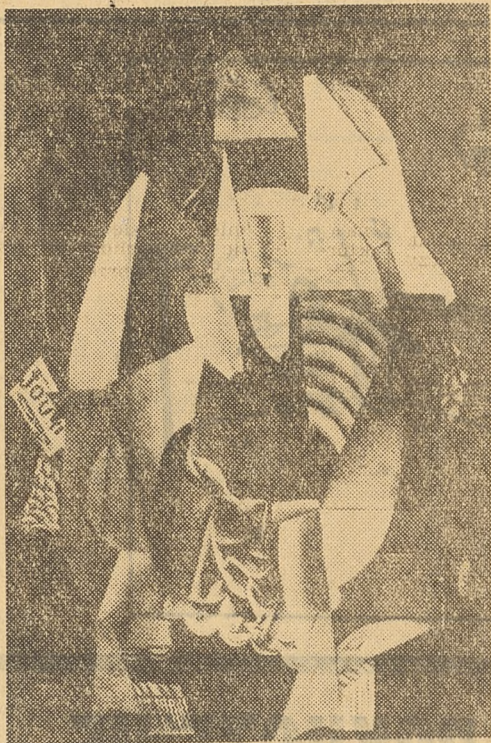
ryment dla uzyskania świadomości co do „rzeczywistej“ wartości plastycznej postaci ludzkiej. Zdeformowane, przerysowane w proporcjach postacie demaskują swoją istotną funkcję: palce stały się szczotkami, w ramieniu zostało objawione jego pokrewieństwo z kolumną, usta przypominają raz nie domykającą się paszczę, kiedy indziej znów maszynkę do siekania mięsa, twarz jest równocześnie dziobem ptaka z profilu i wylupiatymi okularami en face.

Dalszym krokiem dla tego funkcjonalnego stylu było akcentowanie brylowatości — całkowite przenikanie się przedmiotu z jego formą. Łączy się to ze znacznym rozkwitem w owym czasie rzeźby kubistycznej której głównymi przedstawicielami są Archipenko, Lipschitz, Laurens.

Znaczenie kubizmu jest dla malarstwa nowoczesnego ogromne. Od roku 1918 kubizm oddziałuje na coraz to większe rzesze artystów. Można by za Kahnweilerem powiedzieć, że od tego czasu nie ma już malarstwa, które by nie „było namaszczone kroplą kubistycznego oleju“. Kubizm do dziś dnia niepodzielnie panuje w twórczości Braque'a, występował aż do końca u Légera, dostrzegamy go w „ekspresjonistycznych“ portretach kobiecych Picassa z lat 30-tych i okresu II wojny światowej, odnajdujemy go również i poza granicami Francji, przede wszystkim w twórczości Meksykanczyków (np. Rufino Tamayo) a także w Polsce (kierunki awangardowe).



PICASSO: Student z gazetą (1913-14)



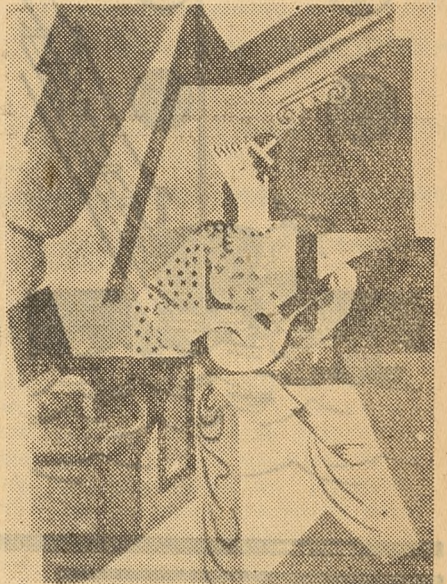
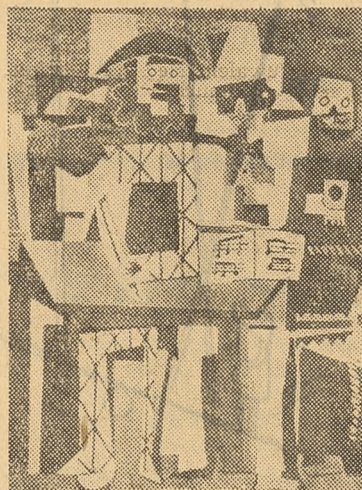
PICASSO: Kobieta ze złotym bustem

Na prawo:

PICASSO: Trzej muzykanci (1921)

A. LHOTE: W hołdzie Vermeerowi

(1917)



JACQUES VILLON: Maszerujący żołnierze (1913)

OBYCZAJE

Bardzo często można usłyszeć zdania tzw. prostych ludzi o waśniach narodowych. Że właściwie to te wszystkie konflikty i problemy wymyślają dyplomaci, faceti stojący aktualnie u steru państwowych naw, zaś same narody nie mają na ogół do siebie żadnych animozji ani uprzedzeń. I to jest na pewno jakaś ludowa prawda. Bo przecież trudno obnosić się np. z wrogimi okrzykami przeciwko Anglikom: bo skąpi i zimni, przeciwko Amerykanom; że groszorośli i brutale, przeciwko Niemcom... O, pardon. Tu jest już strefa zakazana. Niemcy jak wiadomo to naród, który nas krzywdził przez wieki. Tak przynajmniej utrzymuje znowu tzw. mądrość ludowa, utożsamiając kolejne rządy i fuchrerle niemieckie z narodem Goethego i Beethovena. Naród na pewno nie był winien zbrodni faszystowskich. Naród był trzymanym w niewiedomości. Jeżeli teraz czyta się w niemieckich gazetach o opiniach „prostych Niemców“ na temat zbrodni w obozach koncentracyjnych i innych sprowadzających się do dwóch słów: nie wierze! — nas śmiech ogarnia. Jak to nie wierzyć! Jak to — nie wiedzieliście! A rzeczywiście, masy narodu niemieckiego nie wiedziały. Ale to tylko na marginesie. Chodzi mi o rzecz nieco odleglejszą tematycznie:

BOHDAN DROZDOWSKI

W ostatnich dwóch kolejnych numerach „Świata“ czytałem z zapałem tchem, jak się to mówi, wstrząsające opowiadanie Somerseta Maughama „Niezwyciężona“. Jest to rzecz o młodej francuskiej nauczycielce i niemieckim żołnierzu, który ją najpierw zgwałcił, a potem się w niej szaleńczo zakochał. Dziewczyna zaszła w ciążę, nienawidzi swego złoczyńcy, ma narzeczonego, który jest jeńcem w obozie niemieckim i następnie zostaje rozstrzelany za udział w buncie przeciwko rygorom obozowym. Hans zyskuje sobie dobroć i prawowitością serca rodziców Anette, jej zaś nie udaje mu się ani odrobine skłonić ku sobie. Gdy rodzi się ich dziecko, Hans jest szczęśliwy, Anette zaś morduje je, jako bękartu spłodzonego przez wroga.

Cale to opowiadanie nie jest na pewno materiałem dla badań psychiki narodowej Francuzów. Jest natomiast świetną ilustracją zupełnie niewspółczesnych uczuć, jakie nas jeszcze tu i ówdzie trawia. Bo w końcu Maugham nie ujawnia innych motywów żelaznej w konsekwencji nienawiści Anette do Hansa, jak tylko motyw nacjonalistycznego

wojna i POKÓJ

uprzedzenia. Choć w tym konkretnym wypadku na niekorzyść Hansowej niewczesnej miłości wpływają dwa jeszcze bardzo poważne elementy: zgwałcenie dziewczyny i zwyciężenie Francji przez Niemców. Są to w pierwszej fazie argumentacji na pewno motywy bardzo ważne. Potem jednakże pozostaje już tylko 1) pamięć gwałtu i 2) strach przed opinią francuską, która pomówi Anette o zdradę ojczyzny. Otóż to: opinia narodowa, która — przez samo swoje istnienie — zabiła dziecko Hansa i Anette.

Nie będę szczegółowo analizował tego opowiadania. Jest bardzo bogate treściowo więc posłużyło mi tylko za punkt wyjścia do rozważań na temat uprzedzeń narodowych, jakich pełno i wśród Polaków. Przecież nie jest dla nikogo tajemnicą, że mamy ich bardzo wiele i to zarówno wobec sąsiadów wschodnich jak i zachodnich i że ludzie dziwią się, gdy słyszą iż gdzieś tam w innych krajach ktoś ośmiela się o naszym wspaniałym narodzie wyrażać niepoehlebie. A wiadomo, że zyskaliśmy sobie oprócz sławy do rnych wojaków i lotników, sławę do brzych bokserów, pijaków i kancian-

rzy. Niewiele jest narodów, które skłonni jesteśmy podziwiać: padamy drętym plackiem przed amerykańską techniką i ciuchokulturą, bierzemy nas czkawka na myśl o niemieckiej organizacji życia, przemysłu i rolnictwa, opadają nas dreszcze na słuch o francuskich kobietkach i „mulerużach“, pragniemy w snach na jawie być świadkami hiszpańskich corrid i włoskich Milla Miglie — i to, z grubsza biorąc wszystko. Tyle nam, przeciętnym Polaczkom, powiedziała ostatnio prasa, nieliczni znali te rzeczy jeszcze sprzed wojny, no i tak urobiła się opinia o narodach i krajach. Nigdy natomiast nie słyszy się o jakichś pretensjach godnych wojny, do nikogo. Nawet do Niemców, którzy zabili nam ponad 6 milionów najbliższych, nie poszlibyśmy już z ogniem i mieczem, a co najwyżej z rękawicą bokerską i łokciem (handlarskim). Przecież nie będziemy wojować na noże z Kanadą o arrasy! Przecież nie mamy nic do obywateli USA, Hiszpanii, Afryki, Guadelupy. I dlatego jesteśmy tysiąc dziewięćsetnym pokoleniem, które ma pretensje do swoich polityków, że zawsze wynajdą jakieś sporne problemy, w których ta czy owa strona może z satysfakcją powiedzieć: nie!

I dlatego myślę, że to wcale nie jest takie naiwne pragnienie: panowie królowie tego świata, jeżeli chcecie sobie powojować — prosimy

(Dokończenie na str. 9)

BĄDŹ TU DOBRY !

Za panowania króla Henryka IV pewien Francuz, jego poddany, nielegalnie przekroczył granicę i poprosił o azyl w sąsiednim państwie. Był to odosobniony wypadek, gdyż Henryk IV cieszył się opinią mądrego i dobrego władcy.

— Czyż nie obiecał wam król Henryk, że każdy z was będzie miał kurę w garnku? pytało Francuza.
— Owszem — odparł uciekinier — ale ja bardzo nie lubię kury.

DIWNE

Wielki inkwizytor, Torquemada, na którego rozkaz dziesiątki tysięcy heretyków spalono na stosie, był człowiekiem bez nalogów. Ilekroć częstowano go papierosem, zawsze odmawiał: dziękuję, jestem niepalący!

ACH, CI MALARZE

Car Iwan Groźny nigdy nie był zadowolony ze swoich portretów.
— Nie taki Iwan Groźny, jak go malują — zwykły mawiał.

SPROSTOWANIE

Nie jest prawdą, jakoby gen. Cambronne miał podczas bitwy pod Waterloo odpowiedzieć bardzo brzydko na propozycję kapitulacji. Prawdą jest natomiast, iż rzekł: „Bardzo mi przykro, ale doprawdy, nie mogę. Może przy okazji, innym razem, jeśli panowie będą łaskawi?”

UCZTA

W czasie słynnego przyjęcia u Wierzyńki w r. 1363 siedzieli obok siebie przy jednym stole cesarz Karol IV i Ludwik Węgierski. W pewnej chwili jedna z dam poprosiła cesarza o podanie talerza z polednicą.
— Kolega podaje — odparł Karol IV wskazując na Ludwika.

TO FAKT

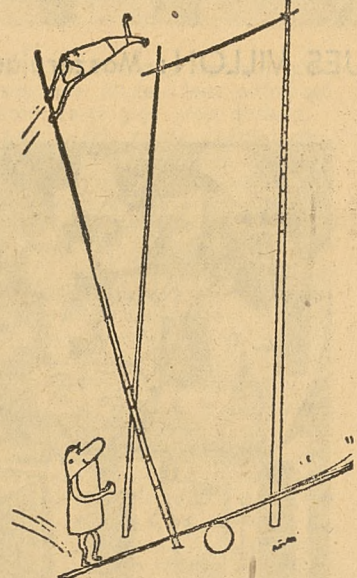
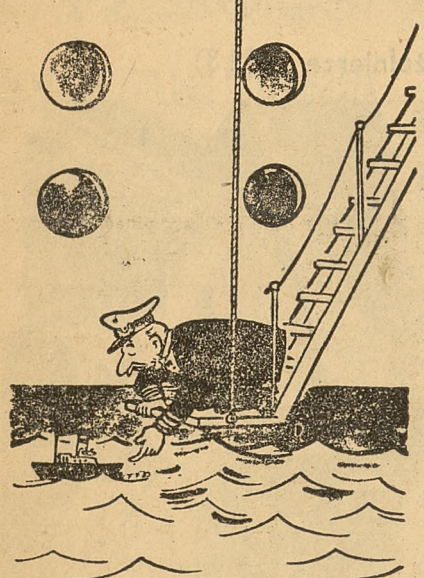
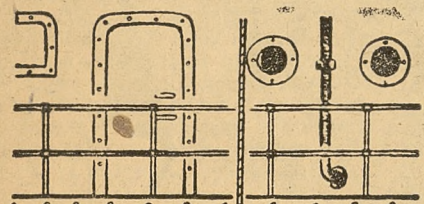
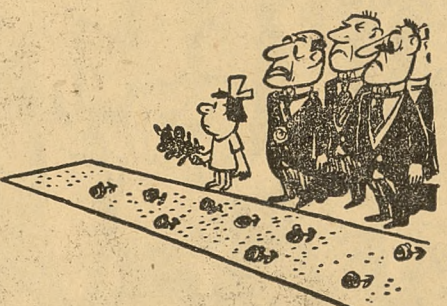
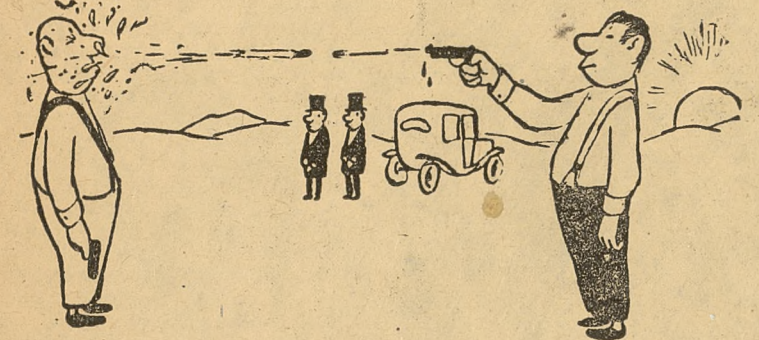
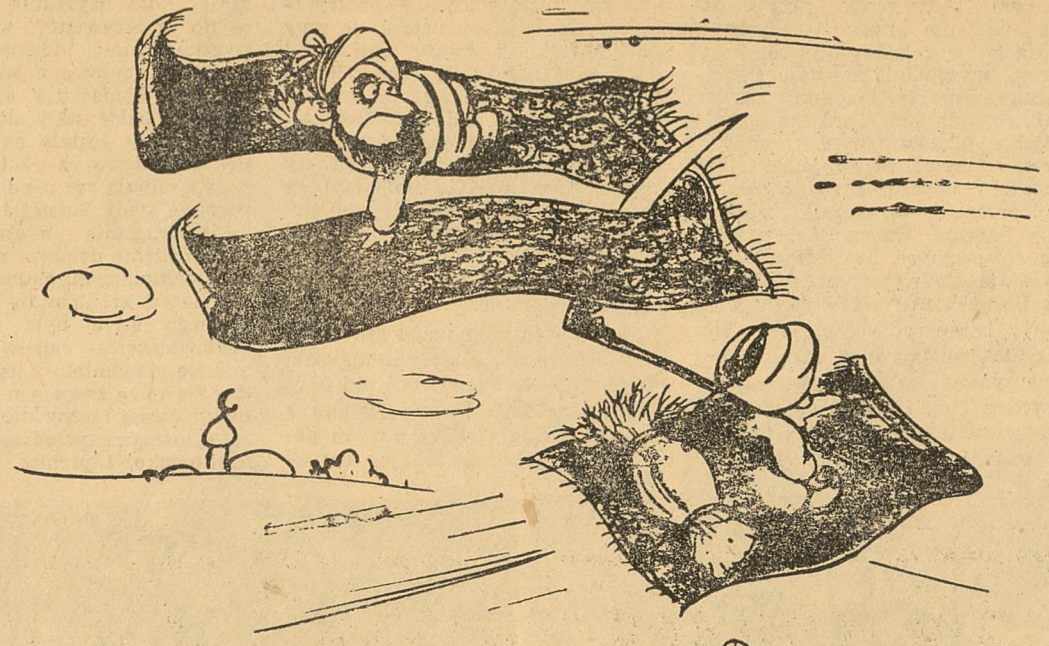
Historia uczy, że przed bitwą pod Grunwaldem Krzyżacy ofiarowali królowi Jagielle dwa miecze. Otóż należy zaznaczyć, że właściwie było tych mieczów trzy, ale trzeci został skonfiskowany przez cenzurę.

ODKRYCIE AMERYKI

W znalezionych tygodni temu pamiętnikach jednego z uczestników wyprawy Kolumba napotkano na ciekawą wiadomość. Jak się okazuje, Kolumb, na widok nieznanego lądu, wcale nie krzyknął „Ziemia!”, tylko „Gdzie są, u diabła, moje okulary?”

SZOFER-BAJARZ

Jeden z kopenhaskich szoferów taksówek zdobywa sobie klientów oryginalną metodą. Pasażerom opowiada mianowicie niezwykle historię. Gdy pasażer wysiada taksówkarz mówi: — ciąg dalszy opowiadania przy następnej turze. I co powiecie? Klienci żądni dalszego ciągu zawsze wyszukują tego właśnie a nie innego taksjara.



◆ HUMOR ◆ HUMOR ◆



HISTORIE

I NIE WÓDZ NAS NA POKUSZENIE (VI)

(Dokończenie)

Głównym argumentem w procesie przeciw Oppenheimerowi było twierdzenie oskarżenia, że Ameryce groziłoby wielkie niebezpieczeństwo, gdyby Rosji udało się skonstruować bombę wodorową wcześniej niż USA. Również mocno podkreślano zarzut, że Oppenheimer mniej miał zaufania do moralności polityków owego „wolnego, chrześcijańskiego kraju” aniżeli do przywódców Rosji. Zarzut ten szczególnie podtrzymał senator Mc Mahon i jego asystent Borden, który wprost uważał Oppenheimera za zamaskowanego „agenta Sowietów”.
Kiedy się okazało, że również Kennan, ekspert od spraw rosyjskich, podziela zdanie Oppenheimera w sprawie budowy bomby wodorowej, Roger Robb, który prowadził proces, zadał mu szereg pytań.
Robb: Przypuśćmy, że Rosjanie zrobili bombę wodorową i posiadają ją, a my jej nie mamy. W jakiej byłibyśmy sytuacji w stosunku do Rosji?
Kennan: To jest naturalnie podstawowe zagadnienie i do tego bardzo ważne. Dyskutowałem wiele na ten temat z moimi przyjaciółmi tu w Waszyngtonie. Nie wierzę, aby nasze połączenie różniło się bardziej od sytuacji, w której znajdujemy się dzisiaj... Ostatecznie mamy już dość zwykłych bomb atomowych... Wierzę, że przebieg spraw światowych

byłby taki sam jak przedtem. Kiedy o tym mówię, myślę o fakcie, że bronie atomowe nie są jedynym świadkiem nowego zniszczenia. Istnieją przecież nadzwyczaj skuteczne biologiczne i chemiczne środki... jeśli Rosjanie mieli zamiar zniszczyć nasz kraj i jedynie zadowolić swą wolę zniszczenia, mogliby to zrobić (i to już wcześniej) innymi środkami aniżeli bombami wodorowymi.
Robb: Nie uważa więc Pan, że byłibyśmy w gorszej sytuacji, gdyby Rosjanie mieli bombę a my nie?
Kennan: Nie jestem absolutnie pewny... Ale wierzę, że nasza pozycja nie zależy tak bardzo od matematycznego stosunku środków masowego zniszczenia, jak to przypuszczamy. Ostatecznie nasze problemy w stosunku do nich są prawie te same jak w okresie, kiedy mieliśmy monopol na broń atomową. To są zawsze te same stare problemy. Nie przypuszczam, aby ci ludzie (Rosjanie), mr. Robb, zrzucili na nasz kraj bombę wodorową jedynie z powodu nienawiści i ślepej woli zniszczenia. Sądzę natomiast, że to są ludzie, którzy prowadzą wojny dla zupełnie specjalnych celów, przeważnie aby zdobyć kontrolę nad jakimś krajem, który graniczy z ich obszarem władzy.
W toku dalszego przesłuchania Kennan dodał jeszcze, że Rosjanie wcale nie myślą o tym, aby ryzykować w wojnie atomowej swój z tru-

dem odbudowany przemysł, konkludując, że „broń atomowa w zamierzeniach Rosjan odgrywa o wiele mniejszą rolę aniżeli w naszych”.
Wypowiedzi Kennana wskazują wyraźnie na to, jakie on i Oppenheimer mieli poglądy, kiedy w jesieni 1949 staneli przed zagadnieniem, czy Stany Zjednoczone mają budować bombę wodorową czy nie.
Oppenheimer w ciągu przesłuchania dawał odpowiedzi wymijające, ale w ogniu krzyżowych pytań Robba zmuszony był nieraz zająć zasadniczą postawę. Oto fragment przesłuchania:
Robb: Doktorze, podczas Pana pracy i dyskusji w roku 1942, pracy nad termojądrową bronią w Los Alamos w latach 1943 do 1945, kiedy Pan złożył wniosek o udzielenie pełnego patentu w roku 1944 i kiedy Pan radził jako przewodniczący Komitetu Doradczego Komisji Energii Atomowej, aby prowadzić prace nad termojądrową bronią, w tych wszystkich okresach i przy tych wszystkich okolicznościach czy odczuwał Pan moralne skrupuły albo czy moralne wątpliwości odstraszały Pana od pracy nad tą bronią?
Oppenheimer: Oczywiście...
Robb: Ale kontynuował Pan przecież tę pracę, nieprawdaż?
Oppenheimer: Tak, ponieważ to była praca badawcza. To nie było przygotowanie broni.

Robb: Pan sądzi, że to była tylko akademicka dyskusja?
Oppenheimer: To była próba stwierdzenia, co można zrobić.
Robb: Ale wydawał Pan przecież miliony dolarów z sum podatkowych, czy tak?
Oppenheimer: To zawsze tak jest.
Robb: Wydawał Pan miliony, jeśli nie miliardy dolarów z sum podatkowych, aby zaspokoić własną ciekawość...
Oppenheimer: Takich sum nie wydawałbym.
Robb: Czy Pan proponował, aby takie sumy wydawać na czysto akademickie problemy?
Oppenheimer: Nie. To, czy można zbadać bombę wodorową, nie jest wcale akademickim pytaniem, to jest sprawa życia i śmierci.
Robb: Począwszy od roku 1942 i dalej aż do posiedzenia Komitetu Doradczego (1947) pracował Pan faktycznie i świadomie nad przyspieszeniem budowy termojądrowej bomby, czy tak? Czy to nie Pańska wypowiedź?
Oppenheimer: Przyspieszać — to nie jest właściwe słowo. Raczej wspierałem i pracowałem nad tym.
Robb: Tak. Kiedy te moralne wątpliwości stały się tak silne, że Pan zaczął się przeciwstawiać pracom nad budową termojądrowej broni?
Oppenheimer: Kiedy wyrażono pogląd, że polityka Stanów Zjedno-

zonych musi być taka, iż należy owe rzeczy budować za każdą cenę bez względu na równowagę pomiędzy tymi bronią a atomowymi jako część naszego programu zbrojeniewego.
Oppenheimer nie odpowiadał zupełnie szczerze, gdyż inaczej musiałby przyznać, że rzeczywiście w sensie oskarżenia działał „nielojalnie”, ponieważ z powodu wątpliwości w mądrość swego narodu, starał się pozbawić go broni, którą wybrani przywódcy owego narodu uważali za decydującą nad życiem i śmiercią.
Proces trwał sześć tygodni. Dwu członków trójosobowego Trybunału, Gordon Gray i Thomas Morgan, tak sformułowali ostateczny wniosek: stwierdzamy, że jego (Oppenheimera) zachowanie się odnośnie programu budowy bomby wodorowej dało wystarczający powód do niepokoju i wzbudziło wątpliwości, czy jego dalszy współudział w programach rządowych dla obrony narodowej... da się pogodzić z bezpieczeństwem kraju. Z takim stwierdzeniem, że dr Oppenheimer w swoich wypowiedziach przed tym zgromadzeniem w niektórych wypadkach był mniej niż szczerzy.
Natomiast naukowy członek Trybunału, Ward Evans, uznał zachowanie się Oppenheimera za zrozumiałe i honorowe. Proponował, aby go zrehabilitować. Oppenheimer został jednak usunięty ze stanowiska odpowiedzialnych za energię atomową.
Oppenheimer i jego przyjaciele przegrali. Zwyciężył Teller ze swą piekielną bombą. Skutki, jakie może to spowodować, należą już jednak do problemu dnia dzisiejszego.

SYLWETKI ARTYSTEK FILMOWYCH

(na życzenie
naszych Czytelników)



Gina Lollobrigida



Brigitte Bardot

Rozmowy z Czytelnikami

P. ZOFIA SZYMAŃSKA, Kraków, Westerplatte 1/11. Piszę Pani w swym liście do Redakcji: „Dopiero od miesiąca jestem Waszą czytelniczką i mam nadzieję, że będę nadal z takim samym zainteresowaniem czytać Wasze czasopismo jak do tej pory. Są tam działy tak interesujące, że jednym tchem wprost wszystko się czyta. Proszę nie myśleć, że piszę to abyście byli dumni i zarozumiali. Jednym się podoba, co piszecie, drugim — nie. Rzecz gustu. Ja sobie upodobałam „Zdarzenia” i bez nich w sobotę jest mi smutno i czegoś brak”.

Z listów naszych czytelników czerpiemy najlepsze wskazówki, jak prowadzić pismo. Przyjmujemy z radością pochwały i nagany. Pytania Pani umieszczamy w osobnej rubryce poza konkursem, którą wprowadzamy z inicjatywy Pani. Prosimy o pamięć.

P. LIDIA SMOTRY, Skawina, 29 Listopada 10. Powieść o Mazurkiewiczach na razie nie wyszła drukiem w postaci książki. Materiał zbierał autor w czasie procesu oraz w kołach, z których wywodzi się „bohater”. Jest to więc powieść autentyczna, oparta na faktach. Nazwiska ze zrozumiałych względów są z lekka zmienione.

A. SOBUCKI, Kraków. Staramy się formułować tak pytania, by każdy mniej więcej zorientowany w naszej rzeczywistości czytelnik mógł na nie odpowiedzieć. Że nie są trudne, dowodem licznie napływające odpowiedzi trafne. Prowadzenie statystyki odpowiedzi trafnych i błędnych byłoby zbyt uciążliwe. Pytania Pana nie trafiają w intencję konkursu, mają raczej charakter ankietowy. Ogłaszamy kilka takich pytań. Jeśli czytelnicy odpowiadali na nie masowo, byłby to doskonały materiał ankietowy.

DANUTA DANIŁOWICZ, Chrzanów, Stara Huta. Pytania Pani są stanowczo za trudne.

LISTA CZYTELNIKÓW KTÓRZY NADEŚLALI PYTANIA

Zofia Szymańska, Kraków. Danuta Daniłowicz, Chrzanów. Wacław Piechowicz, Brzesko. Zenon Curylo, Klucze. Bertold J. Zakrzewski, Kraków. Mieczysław Ważyński, Tarnów. Leon Wiśniewski, Dębno Lubelskie.

Przypominamy... STAŁY KONKURS „ZDARZEŃ” i r w a

Co tydzień ogłaszamy trzy pytania. Wystarczy wpisać odpowiedzi na kartce papieru i przesłać w kopercie lub na korespondentce na adres redakcji „Zdarzeń”, Kraków Wielopole 1.

Co tydzień losujemy pewną liczbę nagród.

Czytelnicy są proszeni o nadsyłanie pytań przez siebie skonstruowanych.

TREŚĆ PYTAŃ STAŁEGO KONKURSU DLA NR 13

1. Do którego kraju eksportujemy najwięcej jagód?
2. Który z zespołów artystycznych zdobył ostatnio największe powodzenie za granicą?
3. W którym z powiatów zaczniemy wkrótce eksploatację siarki?

PYTANIA POZA KONKURSEM

(ćwiczenia umysłowe)

- 1) Ile mamy Parków Narodowych w Polsce?
- 2) Jak się nazywa twórca Rock and Roll?
- 3) Największa elektrownia wodna w Polsce.
- 4) W którym z muzeów polskich znajduje się w całości zachowany posąg bożka Światowida?
- 5) W którym kraju walutą obiegową są lewy?
- 6) Czym ogrzewano samowary?
- 7) Najwyższe drzewo świata?
- 8) W którym z miast znajduje się największa giełda diamentów?
- 9) W którym roku rozpoczęto odnawianie zamku wawelskiego?

Za trafną odpowiedź na wszystkie 9 pytań I-sze miejsce, na 8 pytań — II miejsce, a na 7 pytań III miejsce w naszym konkursie ćwiczeń umysłowych. Nazwiska ogłosimy za tydzień.

ANKIETA ZDARZEŃ

Prosimy czytelników o nadsyłanie odpowiedzi na poniżej podane pytania.

1. KTÓRY Z NARODÓW DĄŻY DO NAJWIĘKSZEJ SYMPATII?
2. DO KTÓREGO Z MIAST POLSKICH NAJCHĘTNIEJ WYJEŻDŻASZ?
3. JAKI KRAJ CHCIAŁBYŚ W PIERWSZYM RZĘDZIE ZWIEŹDZIĆ?
4. CZY CHCIAŁBYŚ WYEMIGROWAĆ Z POLSKI?

**KOLEJNA
LISTĘ
NAGRÓD
OGŁOSIMY
W NAJBLIŻSZYM
NUMERZE**

wojna i POKÓJ

(Dokończenie ze str. 7)

uprzejmie, ringów jest dosyć, stołów bilardowych i kortów tenisowych, pistoletów czy szabel także. Prosimy — kto ma coś przeciw drugiemu mężczyźnie, niechaj załatwia te sprawy jak potrafi. Narody zaś mogą uczynić tyle, że będą się starać mianować dyplomatami nie mędrków, lecz osiłków...)

Czy ja mam pretensję do mister Smitha, że pali cygaro i ma trzy, telewizory oraz pół tuzina samochodów? Nie mam. Czy mister Smith chce ze mną zadzierać i stracić swoje samochody i telewizory? Nie jest taki głupi. Czy Hans Ruppert chce pozbyć się swojej willy w Salzburgu i swojego Mercedesa i zamienić to na maskę antyatomową? Z pewnością nie. No więc, do jasnej cholery — kto chce tego, żebyśmy musieli wydawać miliardy na nikomu niepotrzebne wydatki militarne Kto, panowie!

Rzuciłem pytanie i cofam się chylkiem. Już mi tysiąc i jeden sufler podpowiadają chórem: spieprzaj synu z placu boju, bo tu się robi POLITYKE.

Pardon, przepraszam, izwinitie, sorry, promienie! Ja wcale nie zapomniałem o Ziomkostwach niemieckich, pragnących powrócić do Uhdreutsche Stadt Krakau! Oni są tak samo ograniczeni umysłowo jak moi rodacy, którzy szafują opiniami o innych, tylko na zasadzie ich przynależności narodowej. Pamiętam także o tych kołach na Zachodzie, które ten militarizm podsycają i w ogóle świadomie dążą do jeżeli już nie „gorącej” to w każdym razie „zimnej” wojny. Ciemnogród, proszę współczesnych, to wcale nie jest wymysł K. I. Gałczyńskiego. A dopóki Ciemnawka płynie, trzeba niestety armat i rakiet.

BOHDAN DROZDOWSKI

* Proszę nie zapominać, że „mądrość ludowa” a nie moja naiwność!

Czystka eks-sportowa

Czarne — białe

Pomysłowość, jaką wykazują organizatorzy poszczególnych gier loteryjnych w naszym kraju — zaczyna mnie trochę niepokoić. Być może dlatego, że sam jeszcze nie nie wygrałem. Stąd więc, bez trudu przychodzi mi obiektywizm, czyli brak zaślepienia.

Namnożyło się ostatnio różnych loterii, jak grzybów po deszczu. Wiadomo, tam — gdzie stopa życiowa spoczywa sobie raczej nisko, wszelkie gry tzw. losowe — przybierają na masowości. Loterie, konkursy, rozmaite zgadywanki znajdują coraz więcej zwolenników, dla których wygrana pieniężna lub fantowa w rodzaju Wartburga, motoroweru, parceli i in. może oznaczać iluzję dobrobytu. Co prawda, taki np. Lajkonik ma także świetlane cele społeczne, jak budownictwo mieszkaniowe i konserwację zabytków, ale powiedzmy sobie bez ogródek: zastępuje pozycję w budżecie państwowym i jest pewnego typu kamuflowaną pożyczką wewnętrzną na skalę MRN, czy WRN.

Zresztą, o loteriach napisano już sporo i nie chciałbym powtarzać rzeczy znanych.

Skądże zatem w felietonie, bądź co bądź, na temat sportowy — potrącam o sprawy niewinnego hazardu, jaki ogarnia masę?

Bo, proszę państwa, jakoś z tą masowością w sporcie nie wyszło. Była na papierze — a w życiu? Fikeja. Wystarczy przypomnieć historie zdobywania SPO i BSPO. Ze statystyki wynikało, że mamy naród usportowany —

a jakże! Wszelchstronnie i grubo ponad normę. Tylko, że normy nie były — normalne. Nie idzie jednak o grę słów. Kiedy zaczęto nam tu i ówdzie dawać solidne, sportowe cięgi — otrzásnęliśmy się i doszło do reform.

Jedynym jeszcze śladem po złe pojętej masowości sportu — jest słynna gra TOTALIZATOR SPORTOWY. Dlaczego? Złe pojęta gra? A, no — dopóki chodziło o typowanie rzeczywisty ch spotkań i zawodów w poszczególnych dyscyplinach sportowych — proszę bardzo kto ma ochotę się zabawić, jego sprawa. Emocje ze stadionów i boisk, próba możliwości przeciwników — przewidywanie i porównywanie sił z uwzględnieniem pewnego zjawstwa sportu i ewentualnością „zarobienia” premii pieniężnej — od biedy można by zaliczyć do sportowych zamiłowań społeczeństwa.

Jednakże już wprowadzenie gry typu TOTO-LOTEK, jest z punktu widzenia istoty sportu — co najmniej pomyłką. Skoro bowiem mamy olbrzymią ilość LOTERII LICZBOWYCH — po co pod pretekstem SPORTU — dodawać jeszcze jedną? Wydaje mi się to nadużyciem dobrej woli wielkiej rzeszy zwolenników sportu. Nie bujajmy się panowie! Toto-Lotek jest przecież ni mniej, ni więcej — tylko normalną loteryjką. Nazwy różnych dziedzin sportowych nie zakryją prostego faktu: losowania na ślepo!

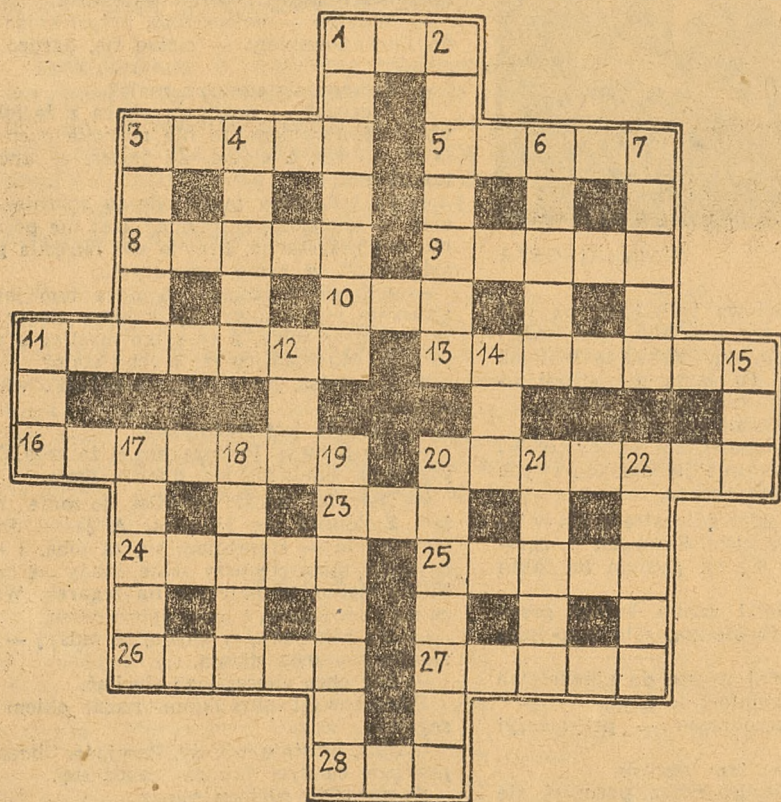
Bynajmniej nie jestem zatwardziałym przeciwnikiem loterii w

ogóle. Trzeba jednak rzeczy nazywać po imieniu. Konkretne zespoły, konkretne zestawienia par w walce sportowej, jakieś prawdopodobieństwo rezultatów na podstawie znajomości danej konkurencji sportowej — to wszystko może być jeszcze z przyzwyczajeniem oka nazwane Totalizatorem Sportowym. Natomiast same tylko nazwy, wrzucane do KOŁA SZCZĘŚCIA na zasadzie piletek z liczbami — stają się zwykłym żerowaniem na popularności sportu wśród społeczeństwa. Do czego — i komu, są potrzebne owe SZYLDY? Ostatnio, Zasłużeni Mistrzowie Od Tak Pojętego Sportu — wpadli na jeszcze bardziej GENIALNĄ MYŚL. Oto, znając naprawdę masowe zainteresowanie ludu piłką nożną, wykonywali całą listę tzw. derbów piłkarskich, które — oczywiście rozegrano w ABSTRAKCJI. Wyniki padały drogą — losowania... CO ZA EWENEMENT! Ileż to ma wspólnego ze SPORTEM! Przypominają się czasy MAŁYCH MISTRZÓW tego „sportu”: stolki jarmarcznych cwaniaków pt. CZARNE wygrywa, BIAŁE przegrywa!...

Hm, jakże zaskakujące przemiany następują w naszym sporcie! Panowie, gdzie białe, a gdzie czarne? I gdzie — SPORT? Wytlumaczcie, żeby człowiek się nie głowił, skoro obowiązuje zasada — EGO SUM, ERGO COGITO...

JERZY BOBER

KRZYŻÓWKA



Poziomo: 1) Wezwanie o ratunek, 3) zespół taneczny, 5) społeczność, 8) bóstwo, 9) stado, 10) inicjały popularnej instytucji krajowej, 11) choroba tropikalna, 13) pojazd kosmiczny, 16) część domu, 20) stan bezżenny, 23) jednostka miary (współ), 24) myśliciel, który powiadał, że jest człowiekiem i nie ludzkiego nie jest mu obce, 25) imię męskie, 26) cesarz-podpalacz, 27) dydaktyczna posada, 28) roślina.

Pionowo: 1) tytuł starożytnego dyktatora w Persji, 2) członek ciała

ustawodawczego, 3) legendarna wieś, 4) przodownik, przywódca, 6) postać z „Pana Tadeusza”, 7) poeta, który opiewał Laure, 11) skrót instytucji pozostającej na usługach rolnictwa (współ), 12) dziennik z okresu międzywojennego, 14) pozdrowienie w języku martwym, 15) temat malarski, 17) polska wyspa na Bałtyku, 18) egipska bogini, 19) dyplomowany rolnik, 20) plastyk wykonujący artystyczne rzemiosło, 21) plaż, 22) szmira,

(OSA)

TADEUSZ KWIATKOWSKI

NIE MA ZABAWY bez PANA WŁADZIA

(9)

Mimo wszystko wydawał się jej niezadowolony. Kobiety, karty, towarzystwo, tak, tu odnosił niewątpliwe sukcesy. Do interesów nie miał głowy. To samo zresztą mówili jego przyjaciele. I to ją pociągało. Nie przykładała za dużo wagi do pieniędzy. Zadowolona była tym co pozwalało mu żyć spokojnie, bez rzucań się w oczy. Marynarkę w kratę którą miał dzisiaj na sobie nosił już od kilku lat. Pamiętała ją dobrze. A jednak nikt nie mógł powiedzieć że nie jest elegancki. To stara prawda, że elegancję stwarza człowiek a nie szmaty na nim. Mazurkiewicz przyniósł dwie szklanki oranżady. Pili powoli uśmiechając się do siebie jak ludzie którym w tej chwili nic więcej nie potrzeba do szczęścia.

Odezwały się dzwonki. Mazurkiewicz oddał szklanki i wzięwszy Jolkę pod rękę zeszli na parter. Zajęli swe miejsca. Jolka poprosiła o program.

— Teraz będzie scena z księciem Józefem — powiedziała półgłosem do Mazurkiewicza. — Książę Pepi — przytaknął — Lubie sztuki historyczne. W szkole zaczytywałem się w historycznych książkach.

— Książka gra Zaczek — Jolka studiowała program.

Światła zgasy i kurtyna odsłoniła wnętrze salonu w Pałacu pod Blachą.

Mazurkiewicz położył dłoń na ręce Jolki wspartej o poręcz fotela. Spojrzała bokiem na niego. Uśmiechnął się zażenowany pokazując swe zdrowe zęby.

— Cieszę się że jestem z tobą — szepnął nachyliwszy się w jej stronę.

W odpowiedzi uściśnęła mu lekko dłoń.

Na drugiej przerwie kiedy osunęła się wielka kurtyna Siemiradzkiego, wyszli znowu do foyer. Mazurkiewicz przeprosił Jolkę i podszedł do dwóch kobiet, z których przedtem jedną nazwał swą sąsiadką. Witając się nisko nachylony ucałował im ręce. Kobiety były bardzo zadowolone i gdy zjawił się przy nich ożywiły się. Niska blondynka rzuciła trzymujące spojrzenie na Jolkę i powiedziała widocznie coś dowcipnego bo wszyscy troje zaczęli się głośno śmiać. Jolka zagłębiła się w tłum ludzi, by zejść im z oczu.

Widokowi zależy na nich — pomyślała — można to od razu dostrzec. Nie podchodzi się do starych bab będąc w towarzystwie młodej kobiety. I ten jego śmiech łatwy do odcyfrowania. Śmiech schlebający i usługujący.

— Dzień dobry pani — usłyszała tuż koło swego ucha. Odwróciła głowę. Obok stał mężczyzna, którego gdzieś już poznała lecz w pierwszej chwili nie potrafiła skojarzyć gdzie i kiedy. Skinęła uprzejmie głową.

— Pani mnie nie poznaje, Żyberski. Miałem przyjemność poznać panią u państwa Kamaszowskich.

— Oczywiście — uśmiechnęła się podając mu rękę. Doskonale sobie przypominał.

— Bardzo się cieszę. No jakżeż podoba się pani przedstawienie?

— Interesujące! — odpowiedziała Jolka.

— Mnie się szalenie podoba — uśmiechnął się dobrodliwie Żyberski. — Ale ja się nie liczę.

— Co też pan opowiada.

— Ależ tak — pasjami lubię chodzić do teatru. Jestem na każdej sztuce. I przyznam się pani, że mnie się zawsze wszystko podoba. Już mam coś takiego w sobie, że jak usiądę w fotelu, zanim jeszcze się podniesie kurtyna, mnie się już wszystko podoba. Inni mają różne zastrzeżenia, krytykują, kręcą głowami, a ja nie. Ja kocham tę atmosferę, tu się najlepiej czuję. Dlatego ja się nie mogę liczyć.

— Dlaczego więc pan nie został aktorem? Żyberski westchnął.

— Musiałbym się drugi raz narodzić. A ciągnie mnie to, ciągnie aż wstyd. Raz nawet grałem, ale w teatrze amatorskim. Wie pani graliśmy Królową przedmieścia Krumłowskiego. Ja grałem Majcherka. Wspominam o tym z rozczuleniem do dziś dnia.

— Słyszałam, że teatr taki zarazliwy. Kto raz pokosztuje sceny, przepadł.

— Ma pani rację. Mnie się nawet teatr śni po nocach.

— I pewnie ładne aktorki?

— Wszystko, proszę pani. Aktorzy, kulisy, dekoracje.

— To przyjemnie mieć taką pasję.

— Wie pani, ja wszystkich w teatrze znam. Bardzo im pomagam. Pracuję w Miejskiej Radzie i jak tylko mogę pomagam teatrom. Przecież to chluba Krakowa. A żeby pani wiedziała jak się cieszę, gdy na sali jest komplet. Tak jak dzisiaj — rozejrzał się wokół — wtedy nasi artyści wiedzą że są potrzebni, że

dają coś ze siebie. Rozumiem to dobrze. Raz na naszym przedstawieniu Królowej przedmieścia były puchy, to niech mi pani wierzy, że mi się grało. Czulem się niepotrzebny, zawstydzony, chętnie bym uciekł do domu i płakał.

— Pan jest bardzo uczuciowy.

— No, cóż zrobić, kocham teatr.

— Dzień dobry panu — rzekł Mazurkiewicz zjawiając się przy nich. Podali sobie ręce. — Przepraszam cie — zwrócił się do Jolki musiałem o coś się zapytać tej pani. I jestem z powrotem.

— Nic nie szkodzi. Pan Żyberski opowiadał mi bardzo zajmujące rzeczy.

— E, gdzie tam — uśmiechnął się niewinnie Żyberski — zanudzałem panią zwierzeniami, omal że nie miłosnymi.

Mazurkiewicz zrobił zdziwioną minę.

— Mówiliśmy o miłości pana do teatru — wyjaśniła Jolka.

— To jesteśmy wspólnymi towarzyszami niedoli. Ja też nie wyobrażam sobie życia bez teatru.

— Naprawdę? — ucieszył się Żyberski — miło mi usłyszeć coś takiego z ust pana.

— A jak sztuka?

— Wspaniała!

— Właśnie zwierzył mi się pan — powiedziała Jolka — że był kiedyś aktorem i grał. Żyberski zatrzepotał rękami.

— Jakimż tam znowu aktorem.

— Niech się pan nie wstydi — rzekł Mazurkiewicz, tonem mającym podnieść na duchu Żyberskiego. — Sam zazdroścę panu.

— Pani żartowała...

Mazurkiewicz wymienił z przechodzącym towarzystwem ukłony i powiedział.

— Coś mi się przypomniało i dobrze że pana spotkałem.

— Siuże panu — powiedział grzecznie Żyberski.

— Czy pan nie ma znajomych w urzędzie skarbowym?

— W urzędzie skarbowym? — Żyberski podniósł oczy na sufit — mam. Naturalnie że mam. Tyle lat pracuję w Miejskiej Radzie że wszędzie się już ma znajomych — wyjaśnił jakby się chciał usprawiedliwić że nie jest to jego wina.

— Chciałbym kiedyś porozmawiać z panem na ten temat. Po prostu idzie mi o pewną radę.

— Będzie szczęśliwy jeśli będę mógł w czymś panu pomóc.

— Wpadne przy okazji do pana. Dobrze?

— Niech się pan nie trudi. Może ja przyjdę do pana...

Mazurkiewicz ujął Żyberskiego pod łokieć.

— Przecież to ja mam interes do pana...

— Tak, ale... żeby specjalnie przychodzić...

— Nic wielkiego. Podjadę kiedyś pod magistrat...

— Jeżeli nie sprawi to panu większej trudności, to proszę, lecz powtarzam, że sam chętnie...

— Pan jest taki uorzejmy. Rzadko się spotyka jeszcze dziś takich ludzi... — uśmiechnęła się Jolka.

— Człowiek jest tak krótko człowiekiem. — Żyberski rozłożył ręce — że warto czasem...

— Popatrz — Jolka uderzyła lekko łokciem Mazurkiewicza.

Wśród przechadzających się ujrzał obydwoje wysokiego bruneta, który stał w kącie foyer i wachlował się programem.

— Parkanowski — gwizdnął z podziwu Mazurkiewicz — skąd on się tutaj wziął.

— Widocznie przyjechał.

— Masz dobre oko — zaśmiał się Mazurkiewicz nie spuszczać wzroku z Parkanowskiego. — Muszę się z nim w takim razie widzieć.

— Po przedstawieniu — rzekła Jolka, gdyż odezwały się dzwonki.

— To ja państwa przepaszam — ukłonił się Żyberski — było mi bardzo przyjemnie pogawędzić z państwem.

— Więc do zobaczenia — odparł Mazurkiewicz śledząc bacznie Parkanowskiego, który udał się do którejś z łóż pierwszego piętra.

— Wyglądasz na strasznie podnieconego — zażartowała Jolka gdy usiedli na fotelach. Mazurkiewicz kręcił się na swoim miejscu wypatrując po łóżach swego znajomego. Światło zgasiło i rozpoczął się piąty obraz sztuki. Margrabina Vauban szeleszcząc jedwabiami wpłynęła na scenę...

Po skończonym spektaklu nie odszukali Parkanowskiego. Mazurkiewicz był z tego powodu wyraźnie niezadowolony. Rozglądał się na wszystkie strony, stanął nawet na obrzeżeniu kwietnika przed budynkiem teatralnym by lepiej widzieć ludzi, wychodzących z przedstawienia. Parkanowski zniknął jak kamfora.

— Może wyszedł w czasie aktu? — powiedziała Jolka obserwując uważnie zachowanie Mazurkiewicza, a w ogóle przestał się mną interesować i wygląda to tak jakbyś był zakochany w panu Parkanowskim.

— Jolka, jak możesz? — zniecierpliwiał się Mazurkiewicz — mam do niego pilną sprawę. Chciałem nawet jechać do Warszawy a tu taka okazja. Gdzież on mógł się podziąć?

— Już ostatni wychodzi — zauważyła Jolka.

Mazurkiewicz dał za wygraną. Wziął Jolkę pod ramię.

— Cóż pocniemy z tak pięknie zaczętym dniem.

— Królewiczu rozkazuj!

Mazurkiewicz spojrzął jej w oczy i roześmiał się jak młody chłopiec.

— Zawsze marzyłem żeby być królewiczem. Chciałem być kimś większym niż jestem. Nie

raz matka zarzucała mi że kłamię, albo że się nie odzywam do nikogo. Myślała że to na skutek jakiejś mojej choroby za młodu. A ja marzyłem, kłamałem żeby stworzyć sobie jakieś inne życie niż to które mnie otaczało. — Potem zrezygnowałem z marzeń i teraz wystarczy mi bym został królewiczem dla kogoś...

— I doczekałeś się, królewiczu.

Mazurkiewicz przystanął, założył ręce na piersiach i przybrawszy wyniosłą minę powiedział tonem nie znośącym sprzeciwu.

— W takim razie my królewicz Władysław rozkazujemy udać się do Warszawianki.

Jolka ujęła koniuszkami palców kraje swej sukienki i dwornie dygnęła. Dwóch przechodzących obok mężczyzn przystanąło ze zdziwienia na widok tej sceny. Tymczasem Jolka nic sobie nie robiąc z gapiów wykonała gest wiernopoddanych i spytała:

— I coż tam będziemy czynić Wasza Wysockość?

Mężczyźni zaczęli coś szeptać między sobą. Mazurkiewicz nachylił się do Jolki.

— Będziem jedli, będziem pili, będziem się weselili.

— Kornie przyjmuję ten zaszczyt, królewiczu.

— A zatem pani — Mazurkiewicz podał ramię swej poddanej — udajemy się do przybytku.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem i ruszyli szybkim krokiem w kierunku Plant.

Mężczyźni zgodnie orzekli że mieli przed sobą jakąś pomyloną parę i jeszcze przez chwilę patrzyli za nimi z ciekawością.

O tej porze lokal jeszcze był pusty, więc z łatwością znaleźli dobry stolik w pobliżu okna, skąd jednak można było obserwować tańczących na parkiecie.

— Panie Witoldzie — rzekł Mazurkiewicz do kelnera — coś dobrego i szybkiego. Jesteśmy głodni jak wilki.

— Zrobi się panie inżynierze — kelner wymienił z pamięcią kilka dań, lecz specjalnie polecił brizole. — Dla swoich gości będą efek — przyłożył dwa palce do ust. — Czy pani inżynierowa też brizolik?

Zamówili brizole, ćwiartkę wódki i wodę mineralną.

— Straszne są te nasze lokale — powiedział Mazurkiewicz gdy kelner oddalił się — popatrz, ani jednej ludzkiej twarzy.

Jolka powiedziała wzrokiem po nielicznych zajętych stolikach.

— Ktoś mi mówił że obecnie nie chodzi się po nocnych lokalach — powiedziała opierając łokieć o stół — po prostu jest to źle widziane. Ludzie boją się żeby nie podpaść. Podobno są specjalne brygady które kontrolują kto ma pieniądze na nocne życie. Nie chce mi się w to wierzyć.

— Bardzo możliwe — potwierdził Mazurkiewicz.

— Ty też w to wierzysz?

Według GROSZA

— Ręczę ci że połowa tych ludzi na sali udaje tylko że się nie zna. Mam znajomego który ma pewne kontakty wśród tych ludzi. Przestrzegaj mnie. To samo powiedział co i ty. Ale nie bój się nam nic nie zrobić.

— Mnie? Coż by mnie mogli zrobić?

— No, pewnie — uśmiechnął się Mazurkiewicz podnosząc delikatnie jej dłoń do swych ust — moja damo przyboczna.

Nikt nie tańczył gdyż orkiestra grała wianuszek pieśni radzieckich. Skrzypek i zarazem dyrygent gwałtownie podniósł do taktu rzewnej melodii.

Ludzi przybywało i zanim kelner przyniósł im potrawy do stolika, sala wypełniła się po brzegi.

Mazurkiewicz rozlał wódkę do niewielkich kieliszków i swój podniósł do góry.

— Za nasze powodzenie — przymrużył znacząco oko.

Odpowiedziała mu tym samym.

W tej chwili Mazurkiewicz poruszył się na krześle.

Przyszedł Parkanowski — szepnął Jolce i szybko wychylił kieliszek. — Trzeba go tu sprowadzić.

— I w ten sposób skończy się tak pięknie zaczęty dzień — powiedziała kpiąco.

— Wybacz — chwycił ją za rękę — mam do niego interes. Spada mi jak z nieba.

Nie czekając na zgodę, wstał, przecisnął się wśród stolików i zniknął za filarem. Nie upłynęła minuta jak powrócił prowadząc Parkanowskiego.

— Właśnie pan Mundek szukał jakiegoś miejsca, pozwolił więc że siądzie z nami.

— Oczywiście — odparła Jolka.

Parkanowski przywitał się z Jolką jak ze starą znajomą. Usiadł i od razu powiedział jej kilka komplementów. Mazurkiewicz zia-pał kelnera i kazał mu przynieść jeszcze jeden kieliszek. Parkanowski zamówił nową ćwiartkę wyborowej. Rozmowa początkowo toczyła się na temat wspólnych znajomych. Parkanowski mieszkał w Warszawie i w Krakowie bawił tylko przejazdem. Za godzinę miał pociąg i wstąpił na kieliszek wódki przyrzeczyć się jak wygląda nocne życie krakowskie.

Do Jolki podszedł jakiś młodzieniec prosiąc ją do tańca. Zgodziła się wiedząc że Władek pragnie porozmawiać z Parkanowskim. Gdy wróciła do stolika, Mazurkiewicz był wyraźnie niezadowolony z przebiegu rozmowy. Parkanowski pił kieliszek za kieliszkiem i traktował Mazurkiewicza z góry klepiąc go co chwilę po ramieniu. Władek krzywił się ale nie protestował. Wreszcie zaproponował jej taniec. Orkiestra grała wolne tango i Jolka chętnie przyluli się do partnera. Mazurkiewicz powiedział jej bez ogródek.

— Jolka musisz tak zrobić żeby Parkanowski nie wyjechał dziś do Warszawy.

— Ja? Dlaczego? — aż przystanął.

— Kiedyś ci to wytłumaczę. Teraz jest pijany i nie można z nim mówić. A ja się muszę z nim dogadać — powiedział to ostatnie zdanie matowym, mocnym głosem.

— Dobrze ale co ja mam robić? — próbowała propozycję tę obrócić w żart.

— Nie wiem. Masz przecież tyle środków do wyboru — pocałował ją w policzek.

— Chyba nie żądasz ode mnie żeby z nim przespalała?

— Ech, dziewczyna jesteś — zaśmiał się nieświeższe i Jolka zrozumiała, że wcale nie miałby nic przeciwko temu, jeśli by tylko to gwarantowało zatrzymanie Parkanowskiego w Krakowie.

— Czy to mówisz jako królewicz? — przechyliła głowę patrząc ironicznie na Mazurkiewicza.

— Zatańcz z nim, powiedz mu coś ciepłego. Tacy jak on leżą na takie rzeczy. No, Jolka...

— A więc rozkazujesz królewiczu?

— Nie, proszę!

— Znudziło mi się tańczyć — powiedziała nagle opuszczając ręce. — Chodźmy.

Przy stoliku Parkanowski płacił swoją część rachunku. Co chwilę spozierał na zegarek.

— Spóźnię się jeszcze — powtarzał uśmiechając się do Jolki.

— Ma pan jeszcze sporo czasu — uspokajał go Mazurkiewicz — stąd na dworzec kilka minut.

— Jola, cieszę się że cię widziałem. Kope lat upłynęło od naszych wystrzałów, co? Pamiętajś bankieik pod Snopem? Jeszcze dziś marzę o tych czasach. Nic człowieka nie obchodziło, czas, pieniądze, polityka. Żył się dla samego życia. Wpadnę jeszcze tu do was, to pogadamy o tym, dobrze? I przebaczenie, uciekam — z trudem wstał czepiając się oparcia krzesła — spóźnię pociąg.

— Mundzio — powiedziała Jolka patrząc znacząco na Mazurkiewicza — jeszcze ten taniec, ostatni. A potem cię odprowadzę. Chcesz?

— Chcę — Parkanowski zakrył twarz rękami — tylko tu tak duszno. I żebym się nie spóźnił. Jutro muszę być w Warszawie.

— Dobrze, dobrze — Jolka wyciągnęła Parkanowskiego na parkiet. Sięgała mu zaledwie do ramion, ale mimo to zarzucała mu rękę na szyję, zgodnie z najnowszą modą. Spojrzała na Mazurkiewicza, który mile się do niej uśmiechnął i przesłał jej całusa.

— Mundek — powiedziała przyciskając się do Parkanowskiego — cieszę się, bardzo się cieszę.

— Z czego się cieszysz, mała?

— Z czego? — pokiwiała głową z żartobliwym ubolewaniem, że nie rozumie o co jej idzie. — No, z ciebie. Że jesteś, że znowu tańczymy...

— Ja też, moja mała. Ale ja spóźnię pociąg — chciał się zatrzymać, lecz nie pozwoliła mu przystanąć. Prawie siłą określiła go i skierowała w ciżbę tańczących.

— Oj, nie spóźnisz. A poza tym jesteś strasznie małostkowy. Tu kobieta cieszy się że jest przy tobie, a ty tylko myślisz o wyjeździe. Mundzio, co się z tobą stało?

— Bo wiesz, jutro mam spotkanie, ważną sprawę...

— Kobieta jest ważniejsza...

— Nie przeczę. Przyrzekam ci że specjalnie przyjadę. Umówimy się, dobrze, mała.

— Dawniej inaczej mówiłeś do mnie „mała”. Zmieniłeś się Mundek. A ja — Jolka westchnęła — stęskniłam się za tobą. I kiedy znów mam cię przy sobie, kiedy cię czuję blisko siebie, ty patrzysz na zegarek. Wiesz że się rozwiodłam i mam sporo czasu...

— Małeńka daję ci słowo, że muszę — zaśloniła mu usta dłonią.

— Nie chcę więcej tego słuchać.

Parkanowski ukradkiem rzucił okiem na zegarek.

— Jola, ostatnie minuty. Przyjadę. Chcesz to przyjadę za dwa dni. No, zgódź się...

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Zostaniesz, albo nic z tego.

— Bilet mi przepadnie.

Jolka zaczęła się sztucznie śmiać.

— Na bilecie ci zależy. Szkoda ci może pieniędzy? Może mam ci je zwrócić. Wiesz, że gotowam to zrobić — naraz przytuliła się mocniej do jego piersi. — Mundek, czy ty aż tak się zmieniłeś.

— A niech to — Parkanowski sapnął ze złości — zostaje. Tracę dla ciebie wiele, że byś wiedziała, smarkulo...

(Ciąg dalszy nastąpi)